H. Beam Piper

Poson

(Naudsonce)

Analog, January 1962
Ilustracje: Morey
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain
Oryginał tekstu i ilustracje zaczerpnięto z wydania Projektu Gutenberg.



Słońce miło ogrzewało plecy Marka Howella. Przypominające mech podłoże było miękkie i łagodnie uginało się pod naciskiem stóp, a w powietrzu unosiła się woń, jakiej jeszcze nigdy w życiu nie czuł. Chyba polubi tę planetę, wiedział już to. Pytanie tylko brzmiało, czy ona i mieszkające na niej istoty, polubią jego? Obserwował niewielkie postaci wysypujące się ze wzgórza naprzód, na otwarte pole. Na jego drugim końcu znajdowała się wioska, leżąca poza zasięgiem wzroku. W górze leniwie krążył na kontragrawitatorach pojazd bojowy.

Major Luis Gofredo, oficer marines, odezwał się nie opuszczając trzymanej w ręku lornetki:

– Mają ze sobą coś podobnego do rury, o długości około dwunastu stóp. Sześciu z nich niesie to na drążkach, po trzech z każdej strony, a jeszcze kilku idzie zaraz za tym. Mark, jak myślisz, czy to może być jakieś działo?

Jak do tej pory, nie dowiedzieli się jeszcze wystarczająco dużo, żeby wyrobić sobie opinię, i tak właśnie odparł, dodając jeszcze:

– Te przesłane z pojazdu obrazki z wioski, jakie widziałem na ekranie, wyglądały na dosyć prymitywne. Oczywiście proch strzelniczy jest jedną z rzeczy, które nawet prymitywne ludy mogą odkryć przez przypadek, jeżeli tylko znajdą gdzieś odpowiednie składniki.

– A więc nie wolno nam podjąć żadnego ryzyka.

– Myślisz, że mogą zachowywać się wrogo? Miałem nadzieję, że wyszli z wioski, aby z nami pertraktować.

To był Paul Meillard. Miał prawo do tego, by czuć niepokój. Cała jego kariera w Biurze Kolonialnym, mogła wystrzelić w górę, albo runąć w otchłań, w zależności od tego co się tutaj wydarzy.

Połączona ekspedycja Marynarki Kosmicznej i Urzędu Kolonialnego poszukiwała nowych planet, nadających się do kolonizacji. Przebywali w kosmosie już od czterech lat, co zbliżało się do maksimum dla wypraw eksploracyjnych. Odwiedzili jedenaście układów i wylądowali na ośmiu planetach. Trzy z nich były w rozsądnym stopniu podobne do typu terrańskiego. Pierwsza nazywała się Fafnir. Napotkane tam warunki odpowiadały panującym na Ziemi podczas okresu kredy, ale każdy kredowy dinozaur byłby słodkim i milutkim zwierzątkiem, w porównaniu ze stworzeniami żyjącymi na Fafnirze. Następną był Imhotep. Za dwadzieścia

czy też trzydzieści tysięcy lat, stanie się całkiem miłą planetą, obecnie jednak przechodził przez fazę obszernego zlodowacenia. A Irminsul pokrywały lasy złożone z gigantycznych drzew. Ta planeta wyglądałaby nawet całkiem nieźle, gdyby nie fauna, która była naprawdę paskudna, a zwłaszcza rasa pół-rozumnych, niemal humanoidalnych istot. Dotarły one właśnie do poziomu maczug i toporków *coup-de-poing*. Próba nawiązania kontaktu z nimi, skutkowała poważnym ubytkiem amunicji, śmiercią dwóch mężczyzn i jednej kobiety oraz kilkunastoma rannymi. Mark sam w jej wyniku był przez jakiś czas nieprzytomny.

Zaś co do pozostałych pięciu, to jedna z nich była planetą o całkowicie piekielnych warunkach, a reszta należała do rodzaju tych, które mogłyby zostać skolonizowane, chyba wyłącznie przez nieprzejednane grupy mniejszościowe, chcące uciec od wszystkiego i od wszystkich. Urząd Kolonialny żadnej z nich nawet by nie wziął pod uwagę.

Wtedy właśnie znaleźli tę tutaj, trzecią planetę gwiazdy typu G0, położoną w odległości osiemdziesięciu milionów mil od swojego słońca, o mniejszym nachyleniu osi niż Terra, co oznaczałoby bardziej jednorodne rozkłady temperatur w ciągu roku. Lądy, zajmowały mniej więcej połowę powierzchni całkowitej. Na podstawie wskazówek zebranych podczas dwóch krótkich lądowań w celu zdobycia próbek, biochemia wydawała się być identyczna jak na Terrze, a materia organiczna była jadalna dla ludzi. Planeta należała do takich, o jakich marzyli wszyscy eksploratorzy, poza jedną sprawą.

Zamieszkana była przez rozumną rasę humanoidalną, a niektóre ze społeczności były na tyle wysoko rozwinięte, aby zaliczyć ją do Klasy V, a doktryna Urzędu Kolonialnego odnośnie planet Klasy V, była bardzo sztywna. Niezbędne było ustanowienie przyjaznych stosunków z tubylcami a pozwolenie na osiedlenie się, musiało zostać zagwarantowane w jakiegoś rodzaju traktacie, z kimś mniej więcej upoważnionym do podpisania takiego układu.

Jeżeli Paulowi Meillardowi uda się taki zawrzeć to będzie miał swój sukces. Pozostanie na planecie z czterdziestoma, pięćdziesięcioma ludźmi z załogi statku, aby dokonać niezbędnych przygotowań. W ciągu roku przyleci parę statków z Terry, z tysiącem kolonistów na pokładzie i batalionem lub coś koło tego, żołnierzy Federacji, których zadaniem będzie chronienie osadników przed tubylcami, i vice versa. Meillard automatycznie zostałby wyznaczony na generalnego gubernatora.

Ale jeżeli zawiedzie, będzie skończony. Nie, nie po prostu skończony. Kiedy wróci na Terrę, dostanie awans na jakieś stanowisko w ministerstwie spraw wewnętrznych, z nieco wyższą pensją podstawową, ale bez trzystuprocentowej premii pozaziemskiej, na którym będzie wegetował aż do samej emerytury. Za każdym razem, kiedy wypłynie jego nazwisko, ktoś powie: „Och, tak. To ten, co spieprzył ten kontakt na Whatzit".

Reszcie z nich też nie wyszłoby to na dobre. Już zawsze ciągnęłoby się za nimi podejrzenie, ze mieli swój udział w porażce.



– *Bwaaa – waaa – waaanh*!

Falujący dźwięk zawisł na chwilę w powietrzu. W kilka sekund później rozległ się ponownie, a następnie powtórzył jeszcze raz.

– Nasze działo to róg – stwierdził Gofredo. – Ale nie widzę też, żeby w niego dmuchali.

Przez szereg marines rozmieszczonych w półksiężyc, po obu stronach zespołu kontaktowego, przebiegł jakiś ruch, od lewej strony do prawej. Towarzyszył mu metaliczny klekot sprawdzanej broni. Padający przed nimi cień wskazywał, że pojazd bojowy przesunął się na pozycję bezpośrednio nad ich głowami.

– Jak myślisz, co to może oznaczać? – zastanawiał się Meillard.

– Terranie do domu. – Tą sugestią wywołał u Meillarda zmarszczkę na czole. – Być może ma to na celu wprawienie nas w zmieszanie.

– Pewnie raczej robią to, żeby dodać odwagi sobie samym – odparła Anna de Jong, psycholog. – Założę się, że są śmiertelnie przerażeni.

– Już wiem, jak oni na tym grają – powiedział Gofredo. – Ten człowiek, który idzie z tyłu ma miech. – Podniósł głos. – Bagnet na broń! Ci ludzie nic nie wiedzą o karabinach, ale doskonale orientują się czym są włócznie. Niektórzy z nich mają swoje własne.

I rzeczywiście, mieli. Sześciu tubylców, którzy szli z przodu, było nieuzbrojonych, chyba że ta rzecz, trzymana przez jednego z nich, była włócznią. Podobnie było, jak się wydawało, w przypadku tragarzy niosących róg. Za nimi jednak w otwartym szyku linii bojowej, nadchodziło pięćdziesięciu kilku tubylców z bronią. Większość z nich miała włócznie z czerwono połyskującymi grotami. Brąz z dużą zawartością miedzi. Kilku uzbrojonych było także w łuki. Szli powoli, szczegóły stawały się coraz wyraźniej widoczne.

Przywódca ubrany był w długą żółtą szatę. Przedmiot w jego ręku okazał się być laską z osadzoną na niej głowicą z brązu. Trzech z jego towarzyszy, również założyło długie szaty, pozostali dwaj mieli krótkie tuniki, oraz gołe nogi. Nosiciele rogu ubrani byli podobnie, albo w długie szaty, albo w tuniki. Idący z tyłu włócznicy i łucznicy nosili tuniki lub byli nadzy, poza przepaskami biodrowymi. Wszyscy mieli na nogach sandały. Byli czerwono-brązowego koloru, zupełnie pozbawieni włosów, mieli długie szyje, dolne szczęki niemal pozbawione podbródka i mięsiste, podobne do dziobów nosy, nadające im ptasi wygląd. Wrażenie to jeszcze pogłębiały czerwone grzebienie, podobne do kogucich, wyrastające na czubkach głów.

– No cóż, czy nie są warci obejrzenia? – spytała lingwistka, Lillian Ransby.

– Zastanawiam się tylko, jak my wyglądamy dla nich – odparł Paul Meillard.

To było coś, nad czym faktycznie warto było pomyśleć. Różnice między poszczególnymi Terranami, musiały ich zaintrygować. Paul Meillard był tak bliski ideału czystego murzyna, jak tylko ktoś w siódmym wieku Ery Atomowej, mógł być bliski jakiegokolwiek ideału czystości. Lillian Ransby, niemal platynowa blondynka. Major Gofredo, ledwie tuż powyżej minimum wzrostu wymaganego przez Służbę. Jego nazwisko brzmiało jak ze starego terrańskiego hiszpańskiego, ale jego przodkami musieli być Polinezyjczycy, amerykańscy Indianie i Mongołowie. Karl Dorver, socjograf, sześć stóp i sześć cali wzrostu, rudowłosy. Bennet Fayon, biolog i fizjolog, pulchny, łysiejący człowieczek o różowej twarzy. Willi Schallenmacher, z krzaczastą czarną brodą…

Nie widać było żadnych uszu, zauważył Mark, a potem przyjrzał się rzeczom, jakie mieli na sobie, albo nieśli. Pasy z przywieszonymi torbami i nożami o płaskich ostrzach z brązu usadzonych w nitowanych rączkach. Trzech z członków delegacji miało, zawieszone na szyi na sznurku, małe flety, a czwarty trzcinową fletnię Pana. Nie było widać żadnych tarcz, ani mieczy, to dobrze. Miecze i tarcze, oznaczały zorganizowane siły zbrojne, możliwe występowanie kasty wojowników. Tego tłumu nie tworzyli wojownicy. Włócznicy i łucznicy nie ustawili się jak do bitwy, ale jak do

polowania z nagonką, podczas którego łuki za szykiem włóczni, miały zatrzymać wszystko co przedrze się przez linię.

– No dobrze. Wyjdźmy im na spotkanie. – Gderliwy, niepewny ton zniknął z głosu Meillarda. Wiedział już co zrobić, i jak to zrobić.

Gofredo zawołał na marines, aby zostali na miejscu. Potem ruszyli naprzód, na spotkanie tubylcom, i kiedy znaleźli się w odległości dwudziestu stóp od nich, obydwie grupy zatrzymały się. Róg przestał grać. Ten w żółtej szacie uniósł swoją laskę i powiedział coś, co zabrzmiało mniej więcej jak:

– *Tweedle-eedle-oodly-eeenk.*

Róg, jak zauważył Mark, zrobiony był ze skórzanych pasków, zwiniętych w spiralę i pokrytych jakimś rodzajem lakieru. Wszystkie rzeczy, jakie mieli ci ludzie, wykonane były starannie i z cierpliwością. Stara cywilizacja, ale statyczna. Prawdopodobnie bardzo przywiązana do zwyczajów i tradycji, z których wszystkie są już straszliwie przestarzałe.

Meillard uniósł ręce. Poważnym tonem przemówił do tubylców.

– Bzdrężyło. Szłapy maślizgajne wykrzykiwały to w Malemute Saloon, a chłopaki przy grającej szafie bujowierciły w gar gazonach, a z tyłu baru samotnie siedział tubylerczykom spełły fajle, humpel wyświchnął ponad, kobieta znana jako Lou[1].

To miało zaprezentować im, że my także posługujemy się językiem mówionym, wykazać że ich język oraz nasz, są od siebie odmienne, i zademonstrować potrzebę znalezienia jakiegoś sposobu komunikacji. A przynajmniej coś takiego twierdziły podręczniki. Temu tłumowi jednak nie trafiło to zupełnie do przekonania. Natomiast wyraźnie ich to wystraszyło. Dostojnik z laską zaćwierkał coś z podnieceniem. Jeden z jego towarzyszy zgadzał się z nim w całej rozciągłości. Drugi już sięgał za pas po nóż, ale w ostatniej chwili przypomniał sobie o swoich manierach. Facet od ryczenia, wpompował w róg kilka dmuchnięć.

– Co myślisz o tym języku? – Meillard spytał Lillian.

– Wszystkie one brzmią straszliwie, kiedy po raz pierwszy się ich słucha. Dajmy im parę sekund, a potem przejdziemy do Fazy Drugiej.

Kiedy hałas wywołany świergotaniem i skrzeczeniem zaczął już opadać, zrobiła krok do przodu. Lillian była, sama z siebie, dobrym testem na to, jak ludzcy są obcy. Ta banda nie była wystarczająco ludzka, by zacząć gwizdać na jej widok. Dotknęła swojej piersi:

– Ja – powiedziała.

Tubylcy wydawali się wstrząśnięci. Powtórzyła wykonany gest i słowo, a następnie odwróciła się i zwróciła się do Paula Meillarda:

---

[1] Piper oryginalnie używa tu przemieszanych kilku pierwszych wersów z dwóch wierszy: „Jabberwocky” Lewisa Carrolla i „The Shooting of Dan McGrew” Roberta W. Service’a. Tych kilka słów z drugiego wiersza przetłumaczyłem sam, ale „Jabberwocky” jest dla mnie za bardzo pokręcony i zdecydowanie przekracza moje zdolności językowe (zarówno jeśli chodzi o polski, jak i o angielski). Dlatego skorzystałem tu z tłumaczenia Jolanty Kozak, które wybrałem jako „zadomowione” w fantastyce – wykorzystane było w tłumaczeniu znanego opowiadania Kuttnerów (przyp. tłumacza).

– Ty.

– Ja – powtórzył Meillard, wskazując na siebie. Potem powiedział: – Ty – zwracając się do Luisa Gofredo. Obiegło to po kolei cały zespół kontaktowy. Kiedy doszło z powrotem do niego, przekazał to do punktu wyjścia.

– Nie wydaje mi się, żeby to w ogóle zrozumieli – dodał jeszcze szeptem.

– Powinni – odparła Lillian. – Każdy język ma słowo oznaczające siebie samego i słowo oznaczające osobę do której się zwracamy.

– No cóż, tylko na nich popatrzcie – zaproponował Karl. – Sześć różnych opinii odnośnie tego, o co nam chodziło, i teraz ta zgraja zaczyna spór między sobą.

– Faza Dwa–A – twardo oznajmiła Lillian, ponownie występując krok naprzód. Wskazała na siebie. – Ja –– Lillian Ransby. Lillian Ransby –– ja *imię*. Ty –– *imię*?

– Bwoooo! – Wrzasnął z przerażeniem przedstawiciel, obejmując mocno swoją laskę, jakby próbując ochronić ją przed profanacją. Pozostali zawyli jak wataha wilków w czasie pełni księżyca, poza jednym z gości w krótkich tunikach, który klepał się oboma rękoma po głowie i jodłował na całe gardło. Obsługa rogu pospiesznie okręciła swoją rurę, kierując ją w stronę Terran i szaleńczo pompując.

– Jak ci się wydaje, co ja powiedziałam? – spytała Lillian.

– Och, coś w rodzaju: „Przeklinam waszych bogów, śmierć waszemu królowi i pluję w twarz waszej matce”, jak przypuszczam.

– Pozwólcie mnie tego spróbować – poprosił Gofredo.

Mały major marines, przeszedł przez tę samą procedurę. Na pierwsze jego słowo, zgiełk ucichł. Zanim jeszcze skończył, twarze tubylców obwisły i zapadły się w wyrazie całkowitego i łamiącego serce smutku.

– To chyba nie jest znowu aż takie strasznie złe, co nie? – powiedział. – Popróbuj ty, Mark.

– Ja… Mark… Howell… – Wyglądali na kompletnie oszołomionych.

– Spróbujmy różnych przedmiotów i odgrywania ról – zasugerowała Lillian. – Oni są rolnikami. Powinni mieć słowo, oznaczające wodę.

W taki sposób zeszła im niemal godzina. Wylali na ziemię dwa galony wody, udawali spragnionych, podając sobie nawzajem wodę do picia. Tubylcy po prostu nie byli w stanie dojść do zgody odnośnie słowa, które w ich własnym języku miałoby oznaczać wodę. W ten, czy w inny sposób, umykał im sens całej tej sceny. Potem spróbowali ognia. Efektywność użycia stalowej siekiery do rąbania drewna, zrobiła wrażenie, podobnie było z niespodziewanie pojawiającym się płomieniem z zapalniczki do papierosów. Tym niemniej nie udało się wyodrębnić żadnego słowa oznaczającego ogień.

– A niech to Nifflheim! – zawołał z rozdrażnieniem Luis Gofredo. – Nie dojdziemy donikąd, nawet z pięciokrotną szybkością światła. Paul, dajmy im jakieś prezenty, i odeślijmy do domu.

– Noże w pochwach. Będziemy musieli im pokazać, jak bardzo są ostre – zaproponował. – Czerwone chusty. I biżuteria do ozdoby.

– A co myślisz o czymś do jedzenia, Bennet? – Meillard spytał Fayona.

– Pezet Trzy i cukierki na wymianę C-H – odparł Fayon. Racje polowe Służby Pozaziemskiej, typu Trzy, mogły być zjadane przez dowolny organizm o metabolizmie węglowo-wodorowym, podobnie było z cukierkami na wymianę. – Nic innego, dopóki nie będziemy mieli choćby minimalnego pojęcia o tym, co się dzieje we wnętrzu ich ciał.

Dorver domyślał się, że sześciu członków delegacji, są to być może osoby o specjalnym znaczeniu i powinni dostać coś dodatkowego. Tak też prawdopodobnie było. Dorver potrafił równie szybko wychwycić wskazówki odnośnie społecznego porządku obcych, jak wydedukować obowiązujący u nich wzorzec kulturowy, wyłącznie na podstawie kilku artefaktów. On i Lillian wrócili do lądownika, aby zabrać prezenty.

Wszyscy tubylcy, ekipa od rogu, uzbrojeni strażnicy i cała reszta, dostali dziesięciocalowe noże myśliwskie z pochwą, czerwoną chustę na szyję i coś z błyszczącej tandetnej biżuterii do ozdoby. Przedstawiciele (Rada miejska? Najważniejsi obywatele? Czy coś innego?) otrzymali jeszcze po sztuce obrusów stołowych, które zostały udrapowane im na ramionach i spięte dwucalowymi plastikowymi szpilkami, reklamującymi czyjąś tam kandydaturę na prezydenta Republiki Członkowskiej Federacji Wenus, sprzed paru wyborów. Wszyscy oni wyglądali na strasznie nieszczęśliwych z tego powodu. Być może właśnie taki był ich sposób wyrażania radości. Różne typy układów nerwowych i odmienna muskulatura twarzy, pomyślał sobie Fayon. Kiedy jeszcze spróbowali Pezet Trzy i cukierków, wyglądali jakby przygniotły ich wszystkie troski całej galaktyki.

Przy pomocy pantomimy i wskazywania na słońce, Meillardowi udało się przekazać im informację, że następnego dnia, kiedy słońce będzie w tym samym miejscu, Terranie chcieliby odwiedzić ich wioskę, przynosząc więcej podarków. Tubylcy byli całkiem mili, ale Meillard był niezadowolony z tego, że musiał używać języka znaków. Autochtoni wyruszyli po zboczu w kierunku swojej wioski, chrupiąc po drodze Pezet Trzy i wypróbowując swoje nowe noże. Nazajutrz o tej godzinie, połowa z nich będzie miała pobandażowane palce.

Uzbrojeni marines i kanonierzy obsługujący działka szybkostrzelne weszli do lądowników, odłożyli swoją broń i zapalili papierosy. Paru techników z Marynarki, wypakowało podsłuchiwacza –– urządzenie o kształcie kijanki z krótkim ogonkiem, o długości sześciu stóp i szerokości trzech w najszerszym miejscu, wyposażone w ekrany ochronne działające zarówno w świetle widzialnym, jak i w promieniach podczerwonych, oraz wypchane wręcz aparaturą detekcyjną. Miało ono zluzować krążący nad wioską pojazd bojowy. Zespół kontaktowy, zebrał się w lądowniku Numer Jeden, który został wyznaczony na tymczasową kwaterę główną. Z

drugiego lądownika wyładowywano już baraki z elementów prefabrykowanych.

Wszyscy poczuli, że przydadzą im się porządne drinki, nawet jeśli do pory koktajlu, brakowało jeszcze dwóch godzin. Butelki i szklanki z lodem zabrali ze sobą na przód lądownika, siadając przed frontem całej baterii ekranów widokowych i komunikacyjnych. Ekran centralny służył do łączności dwukierunkowej i był dostrojony do podobnego, stojącego w mesie oficerskiej, na pokładzie *Huberta Penrose'a*, dwieście mil w górze. Widać było na nim, także z drinkami w rękach, kapitana Guya Vindinho, dwóch innych oficerów marynarki i kapitana marines w niebieskim mundurze pokładowym. Podobnie jak i Gofredo, Vindinho musiał chyba dostać się do Służby, stając na czubkach palców. Miał łysą głowę, rudą brodę i zawsze wyglądał, tak jakby miał wielką uciechę ponieważ nikt nie wiedział, że jego imię naprawdę brzmiało Rumplestiltskin. Oglądał całą scenę kontaktu na ekranie. Uniósł swoją szklaneczkę w stronę Meillarda.

– Przeszkoda pokonana, Paul?

W odpowiedzi Meillard również uniósł swojego drinka w kierunku Vindinho.

– Dopiero pierwsza. Przed nami jest ich cały rząd. Ale chyba, odesłaliśmy ich do domu szczęśliwych. A przynajmniej mam taką nadzieję.

– Macie zamiar utworzyć stały obóz w miejscu, gdzie teraz jesteście? – spytał jeden z pozostałych oficerów. Komandor porucznik Dave Questell, oficer inżynieryjny, odpowiedzialny z prace ziemne i wznoszenie konstrukcji. – Czego będziecie potrzebować?

Dwa ekrany przekazywały obraz z teleskopów, znajdujących się na pokładzie 2500-stopowego bojowego krążownika. Jeden z nich dawał, podobny do mapy, ogólny widok z dziesięciokrotnym powiększeniem, szerokiej doliny oraz rozciągających się na południu wyżyn i podgórzy. Tylko bardzo uważnie śledząc główny bieg rzeki oraz jej dopływów, można było odnaleźć na nim małą plamkę wioski tubylców, a samego lądownika nie dawało się dostrzec. Drugi przekazujący obraz o stukrotnym powiększeniu, pokazywał prostokątne wzgórze, ze znajdującą się na jego płaskim wierzchołku wioską, małymi kropeczkami chat, koliście rozsypanymi wokół centralnego placu. Widać było na nim również dwa lądowniki, wyglądające jak skorupy żółwi, oraz pojazd bojowy, krążący ponad wzgórzem, a następnie lądujący obok nich, i od czasu do czasu, błysk światła słonecznego, odbitego od podsłuchiwacza, który zajął jego miejsce.

Podsłuchiwacz także transmitował sygnał, na kolejny monitor, z wysokości dwustu stóp ponad wioską. Z głośnika dobiegała nieustająca paplanina głosów tubylców. W wiosce stało ponad sto domów, małych, kwadratowych, o dachach w kształcie piramidki. Na krańcu wzgórza, położonym od strony obozu Terran, tłoczyło się stado zwierząt, co najmniej czterech gatunków, bydło zegnane z pastwisk na sygnał pierwszego alarmu. Przestrzeń wewnątrz kręgu pośrodku wioski była zatłoczona, a kolejni tubylcy ustawili się w szereg, wzdłuż niskiej palisady na krawędzi wzgórza.

– No cóż, zostaniemy tutaj dopóki nie nauczymy się ich języka – oznajmił Meillard. – To najlepsze miejsce dla tych celów. Jest całkowicie izolowane, po obu stronach rozciągają się lasy, a do kolejnej najbliższej wioski jest siedemdziesiąt mil. Jeżeli zachowamy ostrożność, to możemy zostać tutaj tak długo, jak będzie nam to potrzebne, i nikt się o nas nie dowie. Potem, albo będziemy w stanie porozumieć się z tymi ludźmi, albo przeniesiemy się do dużego miasta.

Duże miasto położone było dwieście pięćdziesiąt mil dalej, wzdłuż doliny, w rozwidleniu głównej rzeki. Była to prawdziwa metropolia, zamieszkana przez niemal trzy tysiące ludzi. To właśnie tam będzie trzeba wynegocjować traktat.

– Będziecie potrzebować więcej baraków. Będziecie potrzebować zbiornika na wodę, rurociągu do tego strumienia poniżej was, i pompy – stwierdził Questell. – Myślicie o miesiącu?



Meillard popatrzył na Lillian Ransby.

– Jak ci się wydaje?

– *Poodly-doodly-oodly-foodle* – odparła. – Widziałeś sam, jak daleko udało nam się zajść dzisiejszego popołudnia. Wszystko, czego zdołaliśmy się dowiedzieć, to, że żadna ze standardowych procedur kontaktowych kompletnie nie działa. – Wykonała gest rzucania czegoś za plecy. – Tyle jeżeli chodzi o podręczniki. Musimy to zrobić bez żadnej pomocy z ich strony.

– Wydaje mi się, że my moglibyśmy wylądować w jakimś innym miejscu, tam w górach, powiedzmy jakieś dwieście, trzysta mil na południe od was – zaproponował Vindinho. – To nie jest dobry pomysł, by reszta z nas siedziała na pokładzie, dwieście mil od planety, a wy chyba również nie chcecie grup pragnących wyrwać się na wolność marynarzy, przylatujących na dół, tam gdzie wy jesteście.

– Tereny tam wyżej, wyglądają na niezamieszkałe – odparł Meillard. – A w każdym bądź razie, nie ma tam żadnych wiosek. To nie powinno w niczym zaszkodzić, w najmniejszym stopniu.

– No cóż, mnie to pasuje – zgodził się z nim Charley Loughran, kseno-przyrodnik. – Chciałbym mieć szansę badania żywych

organizmów w naturalnym stanie.

Vindinho skinął potwierdzająco głową.

– Luis, czy przewidujesz jakieś kłopoty z tym tłumem? – spytał.

– Co o tym myślisz, Mark? Jak oni dla ciebie wyglądają? Wojowniczo?

– Nie. – Wygłosił opinię, którą wcześniej sformułował na własne potrzeby. – Przyjrzałem się bliżej ich uzbrojeniu, kiedy podeszli do nas odebrać swoje podarki. To broń myśliwska. Większość z włóczni ma przymocowane drewniane poprzeczki zabezpieczające, uniemożliwiające rannemu zwierzęciu przesunięcie się po przebijającym je drzewcu, i zaatakowanie myśliwego. To są włócznie na dziki, podobne jak wytwarzane tysiąc lat temu na Terrze. Być może od czasu do czasu muszą przez krótki okres walczyć z wyprawami łupieżczymi ze wzgórz, ale nie dzieje się to na tyle często, by stworzyli specjalne uzbrojenie bojowe i wypracowali techniki walki.

– Ich wioska jest umocniona – zauważył Meillard.

– Kwestionowałbym to – nie zgodził się z nim Gofredo. – Nie może być ich tutaj więcej niż pięciuset ludzi. Powiedzmy, że siły zdolne do walki, to dwustu, i to aby bronić perymetru od długości dwóch i pół tysiąca metrów, przy pomocy siekier dla drwali, myśliwskich łuków i włóczni. Jeżeli zwrócicie uwagę, to nie ma muru wokół samej wioski. Ta palisada, to po prostu ogrodzenie.

– Ale dlaczego umieścili wioskę tak wysoko? – zastanawiał się Questell na ekranie. – Nie wydaje się wam, że rzeka czasami może podnosić się tak bardzo do góry, co? Bo jeżeli rzeczywiście by tak było…

Schallenmacher pokręcił przecząco głową.

– Tutaj po prostu nie ma wystarczająco dużych zasobów wody, a dolina jest na to za szeroka. Byłbym bardzo zaskoczony, gdyby ten strumyk – kiwnął głową w stronę ekranu dającego stukrotne powiększenie, – kiedykolwiek przybrał więcej, niż sześć cali powyżej poziomu brzegu.

– Nie wiem z czego zbudowane są te domy – powiedział Mark. – Cały okoliczny teren ma charakter aluwialny. Kamień na budulec jest niemal nie do zdobycia. Nie widzę niczego takiego jak piec do wypalania cegieł. Nie widzę również żadnych śladów irygacji, tak więc muszą być tutaj duże opady deszczu. Jeżeli używają cegły niewypalanej, albo suszonej na słońcu, domy powinny rozpadać się już po kilku latach, a oni rozwalają je do końca i spychają gruz na bok, by zrobić miejsce dla nowego domu. Wioska została wywindowana do góry, na swoich własnych ruinach, i prawdopodobnie przesuwa się w tą i z powrotem, z jednego krańca tego wzgórza na drugi.

– Jeżeli masz rację, to oni mieszkają tutaj już przez bardzo długi czas – stwierdził Karl Dorver. – A jak dalece są rozwinięci?

– Wczesny brąz. Założę się, że ciągle jeszcze używają wielu narzędzi kamiennych. W kategoriach terrańskich, pre-dynastyczny Egipt, albo bardzo wczesny Tygrys-Eufrat. Nie wiedzę żadnych śladów tego, by wynaleźli koło. Mają zwierzęta pociągowe, kiedy schodziliśmy do lądowania, widziałem kilka z nich ciągnących na tyczkach travois. Powiedziałbym, że ziemię uprawiają już od dawna. Dorobili się całkiem

sporej ilości różnorodnych roślin uprawnych i podejrzewam, że mają jakieś pojęcie o płodozmianie. Zdziwiony jestem tymi instrumentami muzycznymi. Zdają się wkładać w ich wytwarzanie więcej wysiłku, niż w cokolwiek innego. Dopóki wszyscy na razie siedzą we wiosce, mam zamiar zaraz wziąć jeepa i rozejrzeć się trochę po okolicznych polach.

Razem z Markiem wyruszył Charley Loughran, w poszukiwaniu okazów, oraz Lillian Ransby, która pojechała na przejażdżkę. Jak się wkrótce zorientował, większość z jego domysłów, była słuszna. Znalazł wiele tyczek po travois, które poodczepiano zwierzętom, w ataku pierwszej paniki, kiedy lądownik schodził na dół. Niektóre z nich miały na stałe przymocowane duże kosze. W miękkiej ziemi wszędzie widać było ślady po włóczeniu, ale nawet jednego śladu koła. Znalazł jeden pług, sprytnie zmontowany przy pomocy drewnianych kołków oraz pasków z niewyprawionej skóry. Lemiesz był kamienny i mógł wyryć jedynie wąski rowek, a nie prawdziwą bruzdę. Wyposażony był jednak w duży pierścień z brązu, do którego mogło zostać wprzęgnięte zwierzę pociągowe. Większa część pól wydawała się być uprawiana przy pomocy szpadli i motyk. Znalazł po parę sztuk każdego z tych narzędzi, z brązu, odlanych na płask, w otwartej od góry formie. Nie nauczyli się jeszcze robić form kompozytowych.

Różnorodność roślin uprawnych była nawet jeszcze większa, niż Mark się spodziewał: dwa rodzaje zbóż, cała gama różnych roślin okopowych i mnóstwo rozmaitych strączkowych. Ponadto coś podobnego do pomidorów i dyń.

– Założę się, że ci ludzie tutaj, całkiem nieźle sobie żyli, zanim przybyli Terranie – zauważył Charley.

– Nie mów tylko tego w obecności Paula – ostrzegła go Lillian. – Obecnie ma wystarczająco dużo innych zmartwień, by dokładać mu kolejne, czy nasze przybycie nie przyniesie tym ludziom więcej szkody niż pożytku.

Z *Huberta Penrose'a* przyleciały kolejne dwa lądowniki. Zobaczyli, że Dave Questell nadzoruje rozładunek kolejnych prefabrykowanych baraków, a dwa z tych przywiezionych podczas pierwszego lądowania, już zostały wzniesione.

Przyleciała także nazwa dla planety.

– Światowid – powiedział im Karl Dorver. – Najważniejszy bóg bałtyckich Słowian, sprzed jakichś trzech tysięcy lat. Guy Vindinho wygrzebał jego imię gdzieś w „Encyklopedii mitologii". Światowid był przedstawiany trzymając w jednej ręce łuk, a w drugiej róg.

– No cóż, to akurat pasuje. Jak nazwiemy tubylców: Światowidianie czy Światowidczycy?

– Hmmm, Paul chciał ich nazwać Światowidczykami, ale Luis przekonał go, by nazwać ich Światowianie. Powiedział mu, że i tak każdy będzie ich tak nazywał, a więc równie dobrze możemy zacząć to rozbić oficjalnie od samego początku.

– Ich język możemy nazwać światowidzkim – zdecydowała Lillian. – Po kolacji mam zamiar zacząć odtwarzać nagrania i przeglądać audiowizuale.

Będę niesamowicie szczęśliwa, że znam nazwę tego co studiuję. Prawdopodobnie to wszystko, co uda mi się poznać.

Po kolacji Mark, Karl i Paul zaczęli dyskutować, jakiego rodzaju podarki dawać tubylcom oraz na temat sensowności handlu z nimi, i za co. Nic co by za bardzo wyprzedzało ich obecny poziom rozwoju cywilizacyjnego. Koła. Mogły być wytwarzane w warsztatach produkcyjnych na pokładzie statku.

– Wiesz, to dziwne – zauważył Karl Dorver. – Ci tutejsi ludzie nigdy nie widzieli koła, podobnie jak całe mnóstwo Terran, poza filmami historycznymi i dokumentalnymi.

To była prawda. Od czasu wynalezienia kontragrawitacji, sześć wieków temu, koło jako środek transportu, stało się zupełnym przeżytkiem. No cóż, całe mnóstwo Terran, żyjących w Roku Zerowym nigdy nie widziało również zbroi, arkebuza, krzesiwa i hubki, czy też kołowrotka.

Taczki. To będzie coś, co z pewnością im się przyda. Połączył się z Maxem Milzerem, odpowiedzialnym za warsztaty naprawcze i produkcyjne, znajdujące się na statku. Max nigdy wcześniej nawet nie słyszał o taczce.

– Mogę sam je zaprojektować, Mark, ale lepiej będzie jak wyślesz mi jakieś rysunki. Czy właśnie je wymyśliłeś?

– O ile pamiętam, wynalazł je człowiek, który nazywał się Leonardo da Vinci, w szóstym wieku przed erą atomową. Jak szybko będziesz w stanie przysłać mi choć kilka sztuk?

– No cóż, zobaczymy. Wystarczy pospawać arkusz blachy i rurę na ramę i rączki. Będę miał dla ciebie parę do jutrzejszego południa. Teraz, co do motyk. Jak wysocy są ci ludzie, jak długie mają ręce i jak bardzo mogą się nachylić?

Tej nocy wszyscy pozostali na nogach do późna. Podobnie jak i Światowianie. Pośrodku wioski płonęło wielkie ognisko, a wzdłuż krawędzi wzgórza szereg ogni strażniczych. Luis Gofredo był w stosunku do nich równie nieufny, jak oni w stosunku do Terran. Obóz był przez cały czas jasno oświetlony, z silną strażą w pogotowiu, a ciemny obszar poza nim pocięty promieniami podczerwonymi i pilnowany przez rozłożone na ziemi czujniki fotoelektryczne i wiszące w powietrzu podsłuchiwacze. Podobnie jak Paul Meillard, Luis Gofredo był pesymistą i lubił martwić się na zapas. W tej najgorszej z możliwych galaktyk zawsze mogło przydarzyć się coś najgorszego, a jeżeli tylko możliwe było, że coś pójdzie źle, to w nieunikniony sposób szło. Prawdopodobnie tylko dlatego ciągle jeszcze pozostawał przy życiu, a dowodzone przez niego oddziały nigdy nie zostały zmasakrowane.

Jeszcze przedpołudniem ze statku przywiezione zostały taczki, cztery sztuki. Razem z nimi przyleciały żarna, parę pił zębatych, mnóstwo kilofów, łopat, siekier, noży myśliwskich w pochwach i cała masa innego wyposażenia oraz najróżniejszych dóbr na handel, włączając pełno

pustych butelek po winie i whisky, nagromadzonych w ciągu minionych czterech lat.

Podczas lunchu, rozmowa koncentrowała się niemal wyłącznie na problemie językowym. Lillian Ransby, która nie położyła się spać aż do świtu, i właśnie wstała z łóżka, była mocno zniechęcona.

– Kompletnie nie wiem, co z tym zrobić – przyznała. – Glenn Orent, Anna i ja, siedzieliśmy nad tym przez całą noc, i nie posunęliśmy się nawet o krok. Udało nam się wyizolować około setki dźwięków podobnych do słów, a użycie jakichś dwudziestu lub coś koło tego, powtarza się. Ale nie potrafimy przypisać znaczenia żadnemu z nich. A żaden ze Światowian, na nic co myśmy do nich powiedzieli, nigdy nie zareagował dwa razy w taki sam sposób. A w każdym razie nie ma żadnych związków typu jeden do jednego.

– Zaczynam wątpić, czy oni w ogóle mają język – powiedział oficer wywiadu Marynarki. – Z pewnością robią wiele hałasu. Podobnie jak i szympansy.

– Muszą mieć jakiś język – oznajmiła Anna de Jong. – Świadome myślenie niemożliwe jest bez werbalizacji.

– To prawda, społeczeństwo takie jak to, nie mogłoby istnieć bez jakiegoś sposobu komunikowania się – poparł ją z drugiej flanki Karl Dorver. Wydawało się, że przemyślał tę kwestię już wcześniej. – Wiecie co – dodał, – zaczynam się zastanawiać, czy może nie mamy tutaj do czynienia z telepatią.

Tego najwyraźniej nikt wcześniej nie sugerował. Pozostali popatrzyli na niego z zaskoczeniem. Anna zaczęła mówić:

– Och, wątpię czy… – i w tym miejscu przerwała.

– Ja wiem, że rasa telepatów, to stara śpiewka, wykorzystywana od wieków w przygodowych historyjkach o nowych planetach, ale być może w końcu taką właśnie znaleźliśmy.

– Nie podoba mi się to, Karl – odparł Loughran. – Jeżeli oni są telepatami, to dlaczego nie rozumieją nas? I jeżeli są telepatami, to dlaczego w ogóle coś mówią? I nie zdołasz mnie nigdy przekonać, że to ich boodly-oodly-doodle nie jest mową.

– No cóż, struktura nerwowa naszego mózgu i ich, nawet w przybliżeniu nie są do siebie podobne – powiedział Fayon. – Wiem, że analogia, której użyję, między telepatią i radiem jest dziurawa jak rzeszoto, ale dla celów demonstracyjnych zupełnie wystarczy. Nasza długość fali nie może zostać wychwycona przez ich odbiorniki.

– Diabła tam nie może – sprzeciwił się Gofredo. – Trapiło mnie to od samego początku. Ci ludzie zachowują się tak, jakby odbierali od nas jakieś treści. Nie te treści, które im przekazujemy, ale zawsze jakieś. Kiedy Paul wygłosił to swoje blablające przemówienie, oni wszyscy zareagowali w ten sam sposób. Najpierw się wystraszyli, a następnie przyjęli pozycję obronną. Ta procedura ty-ja, po prostu ich oszołomiła, tak jak gdyby był to zestaw jakichś semantycznie w porządku, ale wewnętrznie sprzecznych stwierdzeń. Kiedy Lillian próbowała się przedstawić, byli wstrząśnięci i przejęci grozą…

– Dla mnie to wyglądało, jak rzeczywisty fizyczny wstręt – wtrąciła Anna.

– Kiedy ja tego spróbowałem, zachowywali się jak banda szczeniaków, które ktoś właśnie zaczął pieścić, a kiedy zrobił to Mark, byli po prostu zdumieni. Obserwowałem Marka, jak wyjaśniał im, że stalowe noże są niebezpiecznie ostre. Pojęli samą demonstrację, ale kiedy próbował ubrać ją w słowa, kompletnie ich to zwaliło z nóg.

– W PORZĄDKU. Zostawmy to – ustąpił Loughran. – Ale jeżeli mają zdolności telepatyczne, to dlaczego w ogóle używają języka mówionego?

– Och, ja mogę na to odpowiedzieć – powiedziała Anna. – Powiedzmy, że początkowo komunikowali się przy pomocy mowy, a dopiero potem z wolna rozwinęli swoje zdolności telepatyczne, nawet sobie tego nie zdając sprawy. Mogli wtedy nadal używać mowy, ale ponieważ przekazy telepatyczne odbierali jeszcze przed komunikatami werbalnymi, przestali zwracać uwagę na znaczenie słów jako takich. Każdy mógł stworzyć swój własny język mówiony, na własną rękę. Pełniłby on rolę podobną do akompaniamentu muzycznego w piosence.

– Niektórzy z nich nawet nie zawracają sobie głowy mówieniem. – skinął głową Karl. – Po prostu trąbią.

– Kupuję to, od ręki – zgodził się Loughran. – Przy rozmnażaniu, czy w sytuacjach zagrożenia większej grupy, telepatia byłaby cechą podnoszącą zdolności przetrwania całej rasy. Byłaby utrwalana genetycznie, a szczepy nie obdarowane nią, wykazywałyby tendencję do wyginięcia.

To nie mogło działać. To było kompletnie niemożliwe. Mark powiedział to głośno.

– Popatrzcie tylko na ich technologię. Albo mamy do czynienia z młodą rasą, która właśnie wydobyła się ze stanu barbarzyństwa, albo ze starą rasą, pozostającą w stagnacji. Wszystkie oznaki, wydają się wskazywać na to drugie. Młoda rasa nie miałaby czasu na rozwinięcie zdolności telepatycznych, tak jak sugeruje to Anna. Stara rasa zaszłaby dużo dalej niż miejsce, w którym znajdują się ci ludzie. Postęp w dużym stopniu uwarunkowany jest przez komunikację i współdzielenie idei oraz odkryć. Zróbcie sobie wykres trendu w postępie technologicznym na Terrze. Każdy wielki skok następuje po usprawnieniu procesu komunikacji. Prasa drukarska, koleje żelazne i parowce, telegraf, radio. A teraz pomyślcie tylko, jak dalece proces ten przyśpieszyłaby telepatia.

Słońce ledwie minęło punkt południa, kiedy Światowianie, którzy zaryzykowali zejście na swoje pola, wrócili już na wzgórze do wioski. Na ekranie podsłuchiwacza widać było jak wspinają się pod górę w tunikach i przepaskach biodrowych, wchodzą do domów i pojawiają się przed nimi ponownie, w długich szatach. Wydawało się, że nigdzie na widoku nie ma łuków ani włóczni, ale wielki róg rozbrzmiewał od czasu do czasu. Paul Meillard był zadowolony. Nawet jeżeli stało się to przy użyciu mowy gestów, co uważał za taki sam atawizm jak łowienie ryb na wędkę, czy polowanie na króliki, jakoś jednak udało mu się coś im przekazać.

Kiedy o godzinie 15.00 udali się do wioski, mieli problem z wyjściem z ciężarówki. Paru marines w jeepie musiało podjechać przed nich, by odsunąć tłum z drogi. Przyłączyło się do nich kilku miejscowych, między innymi ten z laską. Ta ochota do współdziałania, zachwyciła wręcz Meillarda. Kiedy zeszli z ciężarówki i stali całą grupą koło niej, dygnitarz z laską, ubrany w swój szkarłatny obrus na stół, narzucony na żółtą szatę, rozpoczął wygłaszanie oracji, najwyraźniej z pełnym zaufaniem, że zostanie zrozumiany. Pomimo obiekcji, wygłoszonych podczas lunchu, teoria na temat telepatii, zaczęła się Markowi wydawać, coraz bardziej przekonywująca.

– Walnij im jeszcze raz tę paplaninę ze Strzelaniny Dana McJabberwocka – powiedział do Meillarda. – Rozpoczniemy w taki sam sposób jak wczoraj.

Meillard zauważył coś, co mocno go zainteresowało.

– Poczekaj chwileczkę. Oni mają zamiar coś zrobić.

Rzeczywiście tak było. Ten z laską i trzech jego przybocznych wyszli do przodu. Posiadacz laski dotknął się na wysokości brwi.

– *Fwoonk* – powiedział. Potem wskazał na Meillarda. – *Hoonkle* – dodał.

– Zrozumieli to! – radośnie rozszczebiotała się Lillian. – Wiedziałam, że w końcu muszą!

Meillard wskazał na siebie i również powiedział:

– *Fwoonk*.

Coś było nie tak. Starszy wioski natychmiast go poprawił. Słowo, które wypowiedział, ponownie wydawało się, że brzmi „*Fwoonk*”.

Trójka jego towarzyszy zgadzała się z nim, że to jest słowo oznaczające „ja”, ale zgoda była jedynie co do tego. Wygłaszali je, odpowiednio, jako „*Pwink*”, „Tweelt” i „Kroosh”.

Gofredo wyrwał się z ust szczekliwy śmiech. Miał rację. Jeżeli cokolwiek mogło pójść źle, to musiało pójść źle. Lillian pozwoliła sobie na użycie pewnego słowa. To w słowo w najmniejszym stopniu nie nadawało się dla ust kobiet. Światowianie przyglądali się im, tak jakby zastanawiając się, o co może w tym wszystkim chodzić. Zebrali się w dużą grupę, gwałtownie się spierając. Sprzeczka zaczęła się rozprzestrzeniać, jak fala na powierzchni wody. Wkrótce wszyscy już ćwierkali do siebie, dmuchali we flety i fletnie Pana. Potem zaczął ryczeć wielki róg. Natychmiast Gofredo złapał za mikrofon wiszącego u pasa radia, i ponaglająco zaczął coś do niego mówić.

– Co robisz, Luis? – z niepokojem spytał go Meillard.

– Wzywam odwody. W tych warunkach nie mogę ryzykować. – Ponownie zaczął mówić coś do mikrofonu, a następnie zawołał przez ramię do tyłu: – Rienet! Trzy jednosekundowe serie w powietrze!

Marine wycelował karabin maszynowy w niebo i wypuścił serię strzałów, potem następną, i jeszcze jedną. Już po pierwszych strzałach zapadła cisza. Potem podniosło się straszliwe wycie.

– Luis, ty idioto! – krzyknął Meillard.

Gofredo wskoczył na maskę airjeepa, tam gdzie wszyscy mogli go widzieć, wyciągnął swój pistolet i dwukrotnie wypalił w powietrze.

– Hej, wszyscy tam, natychmiast się uspokoić! – wrzasnął, tak jakby mogło to przynieść coś dobrego.

Jednak przyniosło. Zapadła cisza, na moment podskoczyła jeszcze króciutkim wybuchem hałasu, ale potem opadła na tłum całkowicie. Gofredo zaczął do nich mówić:

– Teraz już spokojnie. Spokojnie. – Równie dobrze mógłby przemawiać do wystraszonego psa, albo krnąbrnego konia. – Nikt nie ma zamiaru was skrzywdzić. To jest tylko wielka hałaśliwa magia Terran…

– Natychmiast rozładowywać prezenty – polecił Meillard. – Zróbmy z tego wielkie show. Najpierw stół.

Róg, który rozpoczął to wszystko, przestał grać. W czasie kiedy wyciągali długi stół i zawalili go stosami towarów handlowych, podjechała druga ciężarówka, wyrzucając ze środka dwudziestu uzbrojonych marines. Wszyscy mieli nałożone bagnety. Tubylcy z obawą spoglądali na nagą stal, ale słuchali dalej Gofredo. Meillard odciągnął (burmistrza? arcybiskupa? pana na włościach?) na bok, i zaczął z nim rozmowę na migi.

Po przywróceniu spokoju, Howell włożył do taczki kilof i szpadel, a następnie wypchnął ją na wolną przestrzeń, która utworzyła się przed stołem. Przez chwilę wymachiwał kilofem, potem wykopał szpadlem pełną taczkę ziemi. Pojeździł nią parę razy dookoła i opróżnił z powrotem do dziury, uklepując ziemię. Dwóch marine przyciągnęło ośmiocalową kłodę i porąbało ją na kilka polan przy pomocy siekiery. Potem pocięli drugą, korzystając z jednej z pił, porąbali polana na szczapy i wypełnili taczkę drewnem na opał.



Noże, ozdoby i inne drobne przedmioty, nie powinny być problemem, mieli ich wystarczająco dużo, dla wszystkich dookoła. Inne towary były trudniejsze do rozprowadzenia, a Paul Meillard i Karl Dorver spierali się jak to zrobić. Jeżeli nie będą ostrożni, to wiele nowych noży myśliwskich, mogłoby się dzisiaj zakrwawić.

– Każmy im utworzyć kolejkę – zaproponowała Anna. – To da im jakieś pojęcie równego podziału, a my zyskamy możliwość dowiedzenia się czegoś o statusie różnych ludzi, hierarchii społecznej i związkach podległości między nimi.

Osobnik z laską przyjął jako rzecz oczywistą, że to on powinien być pierwszy. Jego podwładni byli następni w kolejności, a reszta wieśniaków za nimi. Każdemu, niezależnie od tego, czy dostał już wczoraj prezent, czy nie, podarowano nóż, chustę i jakąś tandetną błyszczącą ozdobę, a na dodatek stalowy kubek i talerz stołowy, wiadro i pustą butelkę z korkiem. Kobiety nie nosiły wielkich noży myśliwskich, a więc dostały harcerskie finki zawieszone na smyczkach. Wszyscy zostali hojnie obdarowani Pezet Trzy i cukierkami. Każde z dzieci, wyglądające na dostatecznie duże, by można mu było zaufać, dostało również swój nóż, i całe mnóstwo cukierków.

Anna i Karl stanęli w miejscu, gdzie formowała się kolejka, obserwując kolejność w jakiej się ustawiali. Tak samo Lillian, z kamerą audiowizualną. Dopilnowawszy, żeby marines rozdawali prezenty we właściwym porządku, Howell ruszył w ich kierunku. Akurat właśnie, kiedy się zbliżał, podeszła z wahaniem jakaś para. Mężczyzna, w przepasce biodrowej, pod skórzanym fartuchem, oraz kobieta, dużo mniejsza, w postrzępionej i brudnej tunice. Kiedy tylko stanęli na końcu kolejki, jakiś inny Światowianin, w błękitnej szacie, odepchnął ich na bok i zajął ich miejsce.

– Hej, nie możesz tego zrobić! – zawołała Lillian. – Karl, każ mu się cofnąć.

Karl zaczął coś mówić o statusie społecznym i pierwszeństwie. Para próbowała stanąć w kolejce za człowiekiem, który odsunął ich na bok. Inny z wieśniaków również chciał odepchnąć ich sobie z drogi. Howell zrobił krok naprzód, zaciskając prawą pięść. Potem przypomniał sobie, że nie ma pojęcia gdzie może go walnąć. Mógłby na przykład złamać gościowi kark, albo sam sobie kłykcie. Chwycił więc obydwiema rękoma ubranego na niebiesko Światowanina za nadgarstki, kopnięciem podciął mu stopy i szarpnął, posyłając go na sześć stóp w górę, a następnie w kilkumetrowy ślizg po piaszczystej ziemi. Odsunął innych do tyłu, i ustawił parę na właściwym miejscu w kolejce.

– Mark, nie powinieneś tego robić – zaczął robić mu wymówki Dorver. – Nie wiemy…

Światowianin usiadł, z oszołomieniem potrząsając głową. Wtedy zdał sobie sprawę z tego, co się z nim stało. Z wściekłym warczeniem zerwał się na nogi, z nożem w dłoni. To był nóż myśliwski od Terran. Zupełnie

bezwiednie pistolet Howella znalazł się w jego ręku i kciukiem odbezpieczył broń.

Światowianin zatrzymał się w pół kroku, a potem rzucił nóż, pochylił głowę i otoczył ją rękoma, aby ochronić swój grzebień. Wycofał się kilka kroków tyłem, a następnie odwrócił się i pomknął jak błyskawica do najbliższego domu. Inni, włączając kobietę w obszarpanej tunice, zaczęli ćwierkać z zaniepokojeniem. Tylko mężczyzna w skórzanym fartuchu zachował spokój. Powtarzał tonującym głosem:

– *Ghrooogh – ghrooogh.*

W pośpiechu podszedł do nich Luis Gofredo, a za nim trzech uzbrojonych ludzi.

– Co się stało, Mark? Jakieś problemy?

– Już wszystko w porządku. – Opowiedział Gofredo o tym co się wydarzyło. Dorver nadal miał obiekcje.

– … Preferencje społeczne. Zgodnie z miejscowymi zwyczajami, Światowianin mógł mieć rację.

– A niech diabli wezmą miejscowe zwyczaje! – Gofredo wpadł w gniew. – To są podarunki od Federacji Terrańskiej. To my ustanawiamy reguły, a jedna z nich mówi, że nie wolno wypychać ludzi z kolejki. Jeżeli nauczymy tego takich skurwysynów teraz, to nie będziemy mieli z tym tyle ciężkiej pracy potem! – Zawołał przez ramię do tyłu. – Sytuacja pod kontrolą. Z powrotem uruchomić całe widowisko.

Wszyscy tubylcy wykrzywili się z przyjemności w łamiącym serca grymasie. Być może ten, którego wytarmoszono za uszy –– nie, przecież niczego takiego nie miał –– nie należał do najbardziej popularnych osób we wiosce.

– Tylko wyciągnąłeś pistolet, a on rzucił nóż i uciekł? – Spytał Marka Gofredo. – A inni też byli wystraszeni?

– Zgadza się. Wszyscy widzieli jak ty strzelasz ze swojego. Hałas ich bardzo wystraszył.

Gofredo pokiwał głową.

– A więc będziemy unikać niepotrzebnej strzelaniny. Nie ma sensu pokazywać im niepotrzebnie, że hałas nie robi im żadnej krzywdy.

Paul Meillard znalazł w końcu sposób, aby rozdzielić kilofy, szpadle i siekiery. Zakładając, że każdy dom reprezentuje jedną rodzinę, co mogło być prawdą, ale niekoniecznie musiało, mieli dostatecznie dużo kilofów i szpadli do rozdania dla wszystkich, a siekierę dla co trzeciego domu. Rozwieźli je więc dookoła airjeepem i pozostawili narzędzia przy drzwiach. Domy, jak stwierdzili nie były w całości zbudowane z surowej niewypalanej cegły. Skonstruowano je z kłód, okładając od zewnątrz surową cegłą. To zburzyło jego teorię, że domy co jakiś czas były rozwalane, i pozostawiało niewyjaśnionym sposób powstania wzgórza.

Taczki, żarna i dwie piły zębate, były odmienną sprawą. Nikt nie był do końca pewny, czy (szlachta? klasa posiadaczy? politycy? wybitni obywatele?) po prostu nie zabiorą ich wyłącznie dla siebie. Najbardziej obchodziło to Paula Meillarda. Wszyscy inni najchętniej pozostawiliby sprawy ich własnemu biegowi. Zanim jeszcze Terranie w swoich pojazdach oderwali się od ziemi, pomiędzy tubylcami rozpoczęła się gwałtowna

dyskusja, pełna zgiełku, harmideru i wrzasków. Do czasu kiedy wylądowali w obozie, wielki laminowany skórzany róg, ponownie zaczął grzmieć z całej siły.

Jeden z baraków został przystosowany do funkcji kwatery głównej zespołu kontaktowego. Zainstalowano w nim wszystkie ekrany wizyjne i komunikacyjne, a jedna jego strona została wydzielina i wyciszona, tak by Lillian mogła tam studiować wykonane nagrania. Kiedy wrócili z wioski, była już pora koktajlu. Jeżeli chodzi o dyskusje, to stanowiły one kontynuację prowadzonych podczas lunchu. Karl Dorver obecnie był jeszcze bardziej niż kiedykolwiek przekonany, co do prawdziwości swojej hipotezy telepatii, i w zupełnie przekabacił na nią Annę de Jong.

– Spójrzcie na to. – Mark wskazał ręką na ekran podsłuchiwacza, który przekazywał obraz bezpośrednio sponad placu. – Doszli już do porozumienia.

Tak właśnie się wydawało, chociaż na czym stanęło, było już mniej oczywiste. Róg przestał ryczeć, a gwar powoli przycichał. Dziwną sprawą wydawało się jednak, że spokój został przywrócony, albo może przywrócił się sam, w podobny sposób jak rozprzestrzeniało się całe zamieszanie –– na zewnątrz, począwszy od środka placu, w stronę obrzeży tłumu. Dokładnie to samo wydarzyło się, kiedy Gofredo rozkazał wystrzelić z karabinu maszynowego, a także, jak sobie teraz przypomniał, kiedy zajmował się tubylcem wpychającym się do kolejki.

– Przypuszczam, że dogadało się kilku z nich, tam w środku – stwierdziła Anna. – Ta grupa zaczęła myśleć, unisono, scalając razem swoje moce telepatyczne. Zdominowali tych, którzy byli najbliżej, a ci przyłączyli się do nich i wzmocnili sygnał telepatyczny, i w ten sposób to rozprzestrzeniło się na całą grupę. Mentalna reakcja łańcuchowa.

– To mogłoby wyjaśniać mechanizm przywództwa w społeczności, który mnie tak bardzo zastanawiał – dodał Dorver, czując narastające podniecenie. – To arystokracja umysłu, obdarzona szczególnie silnym talentem grupa telepatów, działająca w porozumieniu i wykorzystująca swoją moc zgodnie, w skoordynowany sposób, zaszczepiając swoje opinie w myślach wszystkich pozostałych. Założyłbym się, że celem użycia tego rogu jest rozproszenie uwagi innych, tak by mogli łatwo ich zdominować. A hałas wywołany przez strzały spowodował u nich wstrząs, odcinający ich od komunikacji między sobą. Nic dziwnego, że byli tacy wystraszeni,

Bennet Fayon był dużo bardziej sceptyczny.

– Jak do tej pory, ta cała teoria telepatii, jest jedynie hipotezą. Uważam, że dużo prostszym rozwiązaniem jest założenie jakiejś fundamentalnej różnicy pomiędzy ich sposobem przekładania dźwięku na sensowne dane, i naszym. *Myślimy* tylko, że te grzebienie na ich głowach, są zewnętrznymi organami słuchu, ale nie mamy żadnego pojęcia o sposobie ich działania, jakiego rodzaju łącze nerwowe jest do nich podczepione. Chciałbym wiedzieć, jak ci ludzie postępują po czyjejś śmierci. Potrzebuję paru świeżych zwłok. Szkoda, że nie są wojowniczym

ludem. Nic tak nie przyśpiesza rozwoju wiedzy o anatomii, jak dobra, krwawa bitwa, a to co wiemy o anatomii Światowian, to praktycznie nic.

– Wydaje mi się, że zwierzęta powinny słyszeć w ten sam sposób – powiedział Meillard. – Jak tylko przyleci ze statku ładunek kół do wozów, motyk i narzędzi kowalskich, przehandluję je za bydło.

– Kiedy statek wyląduje w górach, będę dużo polować – dodał Loughran. – Zdobędę dla ciebie egzemplarze dzikich zwierząt.

– No cóż, ja jednak mam zamiar założyć, że wydawane przez nich dźwięki, niosą jakieś znaczące treści – stwierdziła Lillian Ransby. – Jak do tej pory, próbowałam analizować je wyłącznie pod kątem jednostek fonetycznych. Teraz chciałabym przeanalizować je w poszukiwaniu wzorców w falach dźwiękowych. Niezależnie od tego co dzieje się w ich własnym systemie nerwowym, dźwięk musi istnieć jako fala w otaczającym ich powietrzu. Będę zakładała, że Pan Burmistrz i jego fagasy, kiedy wskazywali na siebie, próbowali powiedzieć dokładnie to samo, i zobaczymy czy fale głosowe wydawanych przez nich dźwięków mają jakieś wspólne elementy charakterystyczne.

Aż do końca kolacji, wszyscy dyskutowali między sobą, w różnych kręgach, jednak bez specjalnej nadziei na jakiś sukces. Wszyscy robili nagrania o szłapach maślizgajnych w Malamute Saloon. Lillian chciała sprawdzić, czy nie ma w nich jakichś różnic. Luis Gofredo dopilnował, żeby całe obozowisko nadal było jasno oświetlone, a poza zasięgiem lamp ustawił dodatkowe fotoelektryczne roboty wartownicze, i posłał w powietrze parę wyposażonych w podczerwone promienniki i receptory podsłuchiwaczy, które miały krążyć przez cały czas w górze, na kontragrawitatorach. Nalegał także stanowczo, by wszyscy jego ludzie i budujący obozowisko technicy z Marynarki, pod dowództwem Dave'a Questella, trzymali swoją broń pod ręką. Tubylcy we wiosce byli równie nieufni. Nie spędzili bydła na górę, z łąk na których się pasło, ale zaraz potem jak tylko zrobiło się ciemno, na krawędzi wzgórza rozpalili ognie strażnicze.

Było już trzy godziny po zapadnięciu zmroku, kiedy na pulpicie wskaźników robotów wartowniczych, coś zaczęło trzeszczeć jak zaskoczony grzechotnik. Wszyscy ludzie, rozmawiający właśnie o jakichś sprawach lub koncentrujący się na spisywaniu swoich obserwacji z minionego dnia, nagle zesztywnieli. Luis Gofredo, drzemiący sobie w fotelu, w mgnieniu oka zerwał się na nogi, i ruszył przez barak w stronę przyrządów. Jego zastępca, który właśnie grał w szachy z Willim Schallenmacherem, wstał od stołu i zerwał swój pas z oparcia krzesła, zapinając go pospiesznie na biodrach.

– Tylko spokojnie – powstrzymał go Gofredo. – Pewnie to tylko jakaś krowa albo koń –– ich miejscowy odpowiednik –– który pobłądził gdzieś w niewłaściwe miejsce.

Usiadł przed ekranem jednego z podsłuchiwaczy, i zaczął kręcić gałkami zdalnego sterowania. Monochromatyczny obraz,

przetransformowany z podczerwieni, zawirował, gdy podglądacz wywinął pętlę i zmienił kurs. Drugi ekran pokazywał malejący obóz i rozszerzający się obszar wokół niego, widoczny z nabierającego wysokości drugiego podsłuchiwacza.

– To nie może być jakaś duża grupa – powiedział do siebie Gofredo. – Niczego nie widzę… O tak, teraz są. Idą tylko we dwóch.

Humanoidalne postacie, jedna nieco większa od drugiej, ostrożnie przemieszczały się przez pusty obszar, skulone nisko przy ziemi. Podsłuchiwacz podleciał w ich stronę, i wtedy Mark ich rozpoznał. To był ten sam mężczyzna i ta sama kobieta, których dzisiejszego popołudnia próbował wypchnąć z kolejki, odziany w niebieską szatę wieśniak. Gofredo także ich poznał.

– To ci twoi przyjaciele, Mark. Harry – zwrócił się do swojego podwładnego, – podejdź tam i przekaż wiadomość. Tylko dwójka, i wydaje nam się, że mają przyjazne zamiary. Zabierz wszystkich z widoku. Nie chcemy ich spłoszyć.

Podsłuchiwacz podążał tuż za parą tubylców. Mężczyzna nie miał już swojego fartucha, a tunika kobiety była jeszcze bardziej poszarpana i brudna. To ona prowadziła go za rękę. Od czasu do czasu, przystawała i odwracała głowę do tyłu. Podsłuchiwacz ponad wzgórzem nie pokazywał niczego, poza kilkoma strażnikami, drzemiącymi przy swoich ogniskach. Wkrótce para znalazła się na krawędzi światła rzucanego przez lampy obozowiska. Kiedy weszli w jego krąg, wyglądali jakby sobie uświadomili, że minęli punkt, z którego nie ma już możliwości odwrotu. Wyprostowali się i równo kroczyli do przodu, wydawało się że to kobieta prowadzi swojego towarzysza.

– Co się dzieje, Mark?

To była Lillian. Musiała właśnie wyjść na dwór, z dźwiękochłonnego laboratorium analizy mowy.

– Znasz ich. To ta dwójka z kolejki, dzisiejszego popołudnia. Wydaje się, że pozyskaliśmy parę przyjaznych tubylców.

Wszyscy wyszli na dwór. Dwójka tubylców, po wejściu do obozowiska, zatrzymała się. Przez chwilę mężczyzna w przepasce biodrowej, wydawał się być miotany sprzecznymi uczuciami, czy iść dalej naprzód, czy odwrócić się do tyłu, i uciec ze strachu. Kobieta, trzymając go za rękę, poprowadziła go do przodu. Oboje byli pobici, oboje mieli drobne skaleczenia, a żadne z nich nie miało rzeczy, które dostali tego popołudnia.

– Reszta tej bandy pobiła ich i obrabowała – gniewnie zaczął Gofredo.

– Widzisz co zrobiłeś? – powiedział Dorver. – Zgodnie z ich zwyczajami, oni nie mieli prawa znaleźć się przed tymi drugimi, i teraz masz –– zostali za to ukarani.

– Gdybym był na miejscu Marka, kiedy to się stało, zrobiłbym temu gościowi dużo więcej niż on. – Oficer marines zwrócił się do Meillarda. – Słuchaj Paul, to twoja sprawa. To jak z tym postąpisz, zależy do ciebie. Ale na twoim miejscu, odprowadziłbym tę parę z powrotem do wioski, kazałbym im pokazać, kto ich pobił, a potem dałbym tej wszawej czeredzie lekcję pokazową. Jeżeli masz zamiar skolonizować tę planetę,

będziesz musiał zaprowadzić tutaj prawo Federacji. A prawo Federacji mówi, że nie można napadać całą bandą na ludzi, bić ich i rabować. I wcale nie musimy mówić po światowidzku, żeby dać im do zrozumienia, na co możemy pozwolić, a na co nie.

– Później, Luis. Po tym, kiedy już podpiszemy z kimś traktat. – Meillard przerwał nagle. – Popatrz tylko na to!

Kobieta usiłowała porozumieć się mową gestów. Wskazała na wioskę na szczycie wzgórza. Potem, ułożyła dłonie w kształt podobny do wiader, jakie im dali i wykonała gest odrzucania go od siebie. Pokazała na chusty, noże myśliwskie oraz inne rzeczy, i również je odrzuciła. Wykonała ruchy podobne do uderzeń i dotknęła obrażeń swoich i mężczyzny. Przez cały czas mówiła coś z podnieceniem, podniesionym, ostrym tonem. Mężczyzna wypowiedział te same dźwięki *ghroogh-ghroogh*, które wydawał z siebie dzisiejszego popołudnia.

– Nie. Nie możemy podjąć żadnych działań karnych. Nie teraz – oznajmił Meillard. – Ale musimy coś dla nich zrobić.

Wydawało się też, że zemsta nie jest tym, czego przybysze od nich oczekiwali. Kobieta wykonywała w stronę wioski gwałtowne gesty odrzucenia, potem skłoniła się, umieszczając dłonie na swoich brwiach. Mężczyzna naśladował jej pokłon, a potem oboje się wyprostowali. Kobieta wskazała na siebie, na mężczyznę, i zatoczyła ręką po kręgu baraków i lądowników. Zaczęła wrzucać coś do wyimaginowanego wiadra, udając że zbiera śmieci i zamiatając wyimaginowaną miotłą. Mężczyzna zaczął uderzać wyimaginowanym młotem, a potem rąbać wyimaginowaną siekierą.

Lillian delikatnie zaklaskała w dłonie.

– Dobrze. Od razu to zrozumiałam. „Pozwólcie nam tu zostać, a my będziemy dla was pracować. Co o tym myślisz, Paul?

Meillard skinął głową.

– Akcja karna jest teraz niewskazana, ale możemy okazać nasze nastawienie, biorąc ich do nas. Ty im to powiedz, Luis. Ci ludzie wydają się lubić twój głos.

Gofredo położył obojgu na ramionach dłonie.

– Wy… zostaniecie… z nami. – Pokazał dookoła ręką po obozie. – Wy… zostaniecie… w tym… miejscu.

Ich twarze obwisły w tym zabawnym wyrazie tuż-przed-wybuchem-płaczu, który w ich przypadku oznaczał pełnię szczęścia. Wokalne popisy, mężczyzna ograniczył do swojego stałego *groogh-ghroogh*-owania, zaś kobieta radośnie zaćwierkała. Gofredo ponownie położył dłoń na jej ramieniu, potem wskazał na mężczyznę i powiódł ręką od niego z powrotem do niej.

– Unh? – spytał ją.

Kobieta położyła rękę na głowie mężczyzny, a następnie opuściła ją na wysokość jakiejś stopy od ziemi. Podniosła wyimaginowane dziecko i zaczęła kołysać je na rękach. Następnie z powrotem je postawiła i unosiła rękę do góry, aż znalazła się ponownie na wysokości głowy mężczyzny.

– To było dobre, Mamuśko – powiedział jej Gofredo. – A teraz, ty i Synek, chodźcie ze mną. Damy wam nowe rzeczy, i znajdziemy jakieś

miejsce dla was. – Dodał jeszcze: – A czym, u licha, będziemy ich tu karmić? Pezet Trzy?

Dali im nowe rzeczy, w zastępstwie wszystkiego co im zabrano. Mężczyzna dostał jednoczęściowy kombinezon z polowych sortów mundurowych marines. Lillian dała kobiecie lawendowy płaszcz kąpielowy, a Anna dorzuciła czerwony szal. Znaleźli im kwaterę, w końcu jednego z hangarów magazynowych, upewniwszy się najpierw, że nie ma tam niczego co, gdyby wzięli to w ręce, mogłoby zrobić im jakąś krzywdę, albo co mogliby zniszczyć. Każde z nich dostało również parę koców i dmuchany materac, który wprawił ich w zachwyt, chociaż polowe miejsca do spania, początkowo mocno ich zaintrygowały.

– Co myślisz o wyżywieniu dla nich, Bennet? – spytał go Meillard, kiedy oboje Światowian poszło już do łóżka, a oni sami wrócili do baraku pełniącego rolę kwatery głównej. – Mówiłeś, że jedzenie na tej planecie jest bezpieczne dla Terran.

– Tak, mówiłem to, i to prawda. Ale ta reguła nie musi być odwracalna. Rzeczy, które my jemy, mogłyby ich zabić – stwierdził Fayon. – Szczególnie niebezpieczne może być mięso. I żadnej kofeiny ani alkoholu.

– Alkohol nie powinien im zaszkodzić – sprzeciwił się Schallenmacher. – W niektórych z ich domów, widziałem wielkie słoje z fermentującym miąższem owocowym. Za jakiś rok, powinno być z tego całkiem niezłe wino. C_2H_5OH jest taki sam na każdej z planet.

– No cóż, jutro zdobędziemy dla nich trochę tutejszych produktów żywnościowych – zdecydował Meillard. – Będziemy musieli zrobić to, także przy pomocy gestów – stwierdził z żalem.

– Weź do pomocy Mamuśkę. Ona jest całkiem niezła – poradziła mu Lillian. – Wydaje mi się jednak, że Synek, to wioskowy półgłówek.

Anna de Jong, zgodziła się z nią.

– Nawet jeżeli nie rozumiemy psychologii Światowian, to akurat jest ewidentne. On definitywnie jest poniżej normy. Sposób w jaki trzyma się matczynej spódnicy, jest kompletnie żałosny. Jest dojrzałym mężczyzną, ale umysłowo ciągle jeszcze dzieckiem.

– To może wszystko wyjaśniać! – zawołał Dorver. – Opóźnienie umysłowe w społeczeństwie telepatów, nieustannie naraża umysły innych, na inwazje irracjonalnych i niemiłych im myśli. Nic dziwnego, że są oni odrzucani i prześladowani. A w społeczeństwie na tym poziomie rozwoju, matki nienormalnych dzieci często traktowane są z przesądną nienawiścią…

– Tak, oczywiście – natychmiast poparła go Anna de Jong, i natychmiast przeszła do analizy wrogości wieśniaków w stosunku do matki i syna. W chwili obecnej oboje traktowali już hipotezę o telepatii, jako potwierdzoną.

No cóż, być może tak rzeczywiście jest. Mark zwrócił się do Lillian:

– A czego ty się dowiedziałaś?

– We wszystkich czterech badanych sygnałach dźwiękowych występuje pewna wspólna cecha charakterystyczna. Mała plamka w widmie, na częstotliwościach siedemnaście – dwadzieścia. Dziwne jednak, że kiedy ja próbuję ten dźwięk powtórzyć, to jej tam nie ma.



Rzeczywiście, dziwne. Jeżeli Światowianie coś mówili, to musieli emitować fale dźwiękowe. Jeżeli ona naśladowała ten dźwięk, powinna naśladować cały wzorzec fali. Powiedział to, a ona się zgodziła.

– A więc, podejdź tu do mnie, i popatrz na to – zaprosiła go.

Używała analizatora wizualizacyjnego. Dźwięk rozbijany był w nim, przez zestaw filtrów, na pasma częstotliwościowe, transformowany na światło od ciemnej czerwieni, przez blady fiolet, do czystej bieli. Urządzenie rejestrowało przebiegi wzorców świetlnych na ultraszybkim filmie, automatycznie go wywoływało, drukowało kopię i wyświetlało go w zwolnionym tempie na ekranie. Kiedy nacisnęła przycisk, nagrany głos wypowiedział słowo *„Fwoonk"*. Chwilę później na ekranie pojawił się wzorzec z pionowych linii w różnych kolorach i o różnych długościach.

– Te zielone linie – wskazała mu. – To o nie mi chodzi. A teraz patrz na to.

Wcisnęła inny klawisz, wyjęła wydruk filmu ze szczeliny i oparła go o ścianę obok ekranu. Potem wzięła mikrofon i powiedziała do niego *„Fwoonk"*. Zabrzmiało to dokładnie tak samo, jak za pierwszym razem, ale wzorzec który wyskoczył na ekranie, był zupełnie inny. W miejscu gdzie wcześniej widniała zieleń, obecnie pojawiła się plamka bladoniebieskich linii. Przejrzała nagrania głosów kolejnych trzech Światowian, z których każdy przypuszczalnie mówił „Ja". Niektóre z nich odzwierciedlone zostały głównie w kolorze niebieskim, inne zawierały sporą zawartość żółtego i pomarańczowego, ale wszystkie miały małą grupkę zielonych linii.

– No dobrze, a więc to chyba jest istotna informacja – stwierdził Mark. – Cała reszta, to szum.

– Może jeden z nich powiedział coś takiego „John Doe, *ja*, syn Joe Blowa", a inny dla odmiany „Twardy facet, *ja*, przyłożę każdemu w mieście".

– I wszystko to w jednej sylabie?

Po chwili jednak wzruszył ramionami. Skąd niby miał wiedzieć, ile ci ludzie są w stanie upakować w jednej sylabie? Wziął do ręki mikrofon i sam powiedział do niego: „*Fwoonk*”. Wzorzec na ekranie, chociaż zawierał głębsze kolory i dłuższe linie, w rozpoznawalny sposób był podobny do jej, i zupełnie odmienny od wszystkich pochodzących od Światowian.

W środku zaczęli pojawiać się inni, parami, trojkami. Obserwowali taniec kolorów na ekranie, pokazującym obraz czterech słów Światowian, które mogły, ale wcale nie musiały, oznaczać „*ja*”. Próbowali je powtarzać, Luis Gofredo i Willi Schallenmacher zbliżyli się do oryginału, najbardziej ze wszystkich. Bennet Fayon ciągle upierał się, że Światowianie posiadają doskonale zrozumiały język –– ale dla innych Światowian. Anna de Jong zaczęła nieco odchodzić od Hipotezy Dorvera. Przyznała, że istnieje pewna różnica między dźwiękami na poziomie zdarzeniowym, które składały się z serii fal naprzemiennie zagęszczanych i rozrzedzanych cząsteczek powietrza, i dźwiękami na poziomie obiektowym, stanowiącymi doznania słuchowe wewnątrz systemu nerwowego. To właśnie, jak natychmiast zapiał Fayon, była rzecz, którą mówił im od samego początku. Ich system słuchowy był prawdopodobnie taki, że te wszystkie *fwoonki*, *pwinki*, *tweelty* i *krooshe*, dla nich brzmiały podobnie do siebie.

Do tego czasu, *fwoonk*, *pwink*, *tweelt* i *kroosh* stały się pomiędzy członkami zespołu kontaktowego połączonej ekspedycji Marynarki Kosmicznej i Biura Kolonialnego, popularnymi przekleństwami.

– No dobrze, ale jeżeli ja słyszę dwa dźwięki jako podobne, to dlaczego analizer nie uważa ich za takie? – dopytywał się Karl Dorver.

– To dlatego, że on ma lepsze uszy niż ty, Karl. Spójrz tylko, ile w tym jednym słowie pojawia się różnych częstotliwości, zbitych i zmieszanych razem, a potem ułożonych w sekwencji – wyjaśniła mu Lillian. – A nawet on nie jest dostatecznie czuły albo selektywny. Muszę zapytać Ayeshę Keithley, czy nie da się zrobić czegoś w sprawie budowy dla mnie jakiegoś lepszego urządzenia.

Ayesha była oficerem odpowiedzialnym na *Hubercie Penrosie*, za detekcję i analizę sygnałów. Dave Questell wspomniał jednak, że miała dzisiaj ciężki dzień i prawdopodobnie akurat śpi, tak więc nie byłaby zbyt zadowolona, gdyby ktoś próbował się z nią skontaktować o 1.30. Nikt nie zdawał sobie sprawy, że zrobiło się już tak późno.

– Dobrze, połączę się ze statkiem i nagram się dla niej, kiedy wstanie z łóżka. Ale dopóki nie uda nam się zdobyć czegoś, co uporządkuje ten cały bałagan i nie pozwoli nam na wyciągnięcie z niego czegoś sensownego, daję sobie na wstrzymanie.

– No to zostałaś wstrzymana i kropka, Lillian – powiedział jej Dorver. – To, co ci ludzie do nas bełkoczą, nie ma większego sensu niż Strzelanina Dana McJabberwocka. Prawdziwa informacja, przekazywana jest przy pomocy telepatii.

Porucznik Ayesha Keithley, pojawiła się na ekranie następnego ranka, kiedy jedli śniadanie. Była blondynką, tak jak Lillian.

– Dostałam twoją wiadomość. Chyba masz mały problem, co nie?

– Mówiąc oględnie, tak. Widziałaś co nas zastopowało?

– Nie wiesz pewnie, jak zbudowane są ich organa głosowe, co? – spytała z ekranu dziewczyna w mundurze Marynarki.

Lillian pokręciła przecząco głową.

– Bennet Fayon czeka w nadziei na wojnę, zarazę, czy jakiś wybuch, tak by mógł dostać parę truposzy do sekcji.

– No cóż, z pewnością stwierdzi, że są one całkiem skomplikowane – powiedziała Ayesha Keithley. – Obok zwykłych syczących i bzyczących dźwięków mowy, zidentyfikowałam całą masę dźwięków perkusyjnych, strunowych szarpanych, pocierania. Sporządzenie vocodera, który miałby reprodukować tę mowę, będzie naprawdę niezłą zabawą. Tak przy okazji, jeżeli już mówimy o sprzęcie, to czego tam używacie?

Lillian właśnie o tym opowiadała, kiedy dostrzeżono dwa lądowniki ze statku, schodzące w stronę obozu. Charley Loughran i Willi Schallenmacher, którzy mieli wrócić na *Huberta Penrose'a* aby przyłączyć się do drugiej grupy, lądującej w innym miejscu, zaczęli zbierać swoje bagaże. Inni wyszli na dwór. Howell był wśród nich.

Mamuśka i Synek przyglądali się, jak oba lądowniki robią się coraz większe i coraz bardziej się zbliżają, trzymając się blisko grupy marynarzy. Synek z podnieceniem rozglądał się wokół siebie, podczas gdy Mamuśka trzymała go przez cały czas za ramię, pilnując jak kwoka przerośniętego kurczaka. Ich sposób rozumowania, był jasny –– ci ludzie wiedzieli wszystko o tych olbrzymich rzeczach, spadających na dół, prosto z nieba, i nie obawiali się ich. A więc jeśli będą trzymać się blisko nich, to powinni być również absolutnie bezpieczni. Synek zobaczył zespół kontaktowy wyłaniający się z baraku i złapał matkę za ramię, wskazując w ich stronę. Oboje rozjarzyli się ze szczęścia. Ten wyraz ich twarzy nie wyglądał już tak smutno, teraz kiedy wiedzieli, co on oznacza. Synek zaczął obrzydliwie groogh-grooghać. Mamuśka uciszyła go, kładąc mu dłoń na ustach, i oboje zaczęli wykonywać gesty jedzenia, pocierając sobie z lubością brzuchy i wskazując w stronę baraku jadalni. Bennet Fayon zbladł ze strachu. Odwrócił się i popędził biegiem w stronę kucharza, który stał w drzwiach baraku, wołając coś głośno w jego stronę.

Odpowiedź kucharza była niesłyszalna. Fayon zatrzymał się jak wryty.

– Cholera jasna, niech to wszyscy diabli, nie! – wrzasnął.

Kucharz zawołał coś w odpowiedzi, wzruszając ramionami. Fayon ruszył z powrotem do grupy, mówiąc coś do siebie.

– Terrańska wieprzowina z kultury mięsnej – oznajmił, kiedy wrócił. – Kule owocowe z Zaratustry. Placki ziemniaczane z miodem z Baldura i dżemem z płomienistych jagód, z Odyna. I dwa wielkie kubki kawy dla każdego. To cud, że oni jeszcze nie padli trupem. Jeżeli przeżyją do lunchu, nie będziemy musieli przejmować się żywnością dla nich. Będą mogli jeść wszystko to, co i my. Osobiście cieszę się jednak, że to ktoś inny ponosi za to moralną odpowiedzialność.

Z baraku kwatery głównej wyszła Lillian Ransby.

– Dzisiaj po południu Ayesha przyleci na dół, z mnóstwem sprzętu – powiedziała im. – Nie damy może rady dokładnie policzyć cząsteczek powietrza w falach dźwiękowych, ale będziemy mogły zrobić wszystko poza tym. Będziemy potrzebowały więcej miejsca na laboratorium, dźwiękoszczelnego.

– Przekaż Dave Questellowi, czego potrzebujecie – odparł Meillard. – Naprawdę myślisz, że uda wam się do czegoś dojść?

Wzruszyła ramionami.

– Jeżeli tylko jest tam coś, do czego można dojść. Ile czasu na to potrzeba, to już zupełnie inna sprawa.

Dwa sześćdziesięciostopowe żółwie, opancerzone collapsium, osiadły na ziemi i wyłączyły kontragrawitatory. Po wylądowaniu, otworzyły się ich włazy i na wózkach ślizgowych zaczęły z nich wypływać, strumienie rozmaitych rzeczy: przede wszystkim elementów konstrukcji wieży ciśnieniowej i arkusze profilowanej blachy tytanowej na zbiornik. Anna de Jong wspomniała coś o gorącym prysznicu, i że już nigdy w życiu nie będzie się kąpała przy użyciu gąbki. Howell jednak przyglądał się towarom dla tubylców, które przyleciały drugim lądownikiem. Kilkanaście par czterostopowych kół do wozów, razem z osiami. Motyki, w pakach. Ostrza kos. Wyposażenie dla ręcznej kuźni, z napędzanym korbą wachlarzowatym miechem, stupięćdziesięciofuntowym kowadłem, wielkimi oburęcznymi młotami, przecinakami, kształtownikami i obcęgami.

Wszyscy byli zajęci, a Mamuśka i Synek wiercili się niecierpliwie, wskazując gestami w stronę pracujących ludzi i pokazując swoje puste dłonie. *Hej, szefie. Co mamy robić?* Mark poklepał ich po ramionach.

– Tylko spokojnie. – Miał nadzieję, że ton jego głosu pozwoli im pojąć, że nie ma pośpiechu. – Znajdziemy dla was coś do roboty.

Nie był specjalnie zadowolony, z większości rzeczy jakie zostały wysłane ze statku. Przekazywanie tym Światowianom narzędzi, to fajna sprawa, ale ważniejsze było przekazanie im technologii. Ludzie na statku o tym w ogóle nie myśleli. Te koła, na przykład, maszynowo kształtowane stalowe piasty, stalowe obręcze, szprychy ze stalowych rurek. Wykuwane sztancami i mechanicznie obrabiane osie. Światowianie nigdy nie dadzą rady ich skopiować, nawet za tysiąc lat. No dobrze, za sto, jeśli ktoś im pokaże jak wydobywać żelazo, jak je przetapiać i obrabiać. I jak zbudować silnik parowy.

Podszedł i z jednej z paczek wyciągnął motykę. Ostrze kształtowane przy pomocy prasy hydraulicznej, przyspawane do uchwytu z rurki stalowej. No cóż, na statku kosmicznym trudno znaleźć drewno na trzonki do motyk, nawet jeżeli to jest krążownik o średnicy niemal połowy mili, musiał to przyznać. A motyki te były jakieś dwa tysiące procent bardziej efektywne, niż te skrobaczki z brązu, jakich używali Światowianie. Nie taka jednak była idea. Nawet jeżeli pierwsza fala kolonistów przyleci tutaj za półtora roku, to i tak minie niemal dwadzieścia lat, zanim obsługiwane

przez Terran fabryki, będą mogły rozpocząć masową produkcję towarów na handel z tubylcami. Idea polegała na tym, żeby nauczyć tych ludzi, jak robić lepsze rzeczy, samemu dla siebie. Umożliwić im zrobienie cywilizacyjnego kroku naprzód, tak by następne pokolenia gotowe były na kontragrawitację, energię elektryczną i jądrową.

Mamuśka nie wiedziała jak korzystać z żadnej z rzeczy, które właśnie przyleciały. Synek jednak wiedział. Był strasznie podekscytowany, schwycił Howella za ramię, i wskazywał ręką, mówiąc swoje „*Ghroogh! Ghroogh!*". Pokazywał na koła, a potem wykonał kilka gestów: przygarbił się, uniósł i jakby coś popychał. *Tak jak taczki*?

– Masz rację. – Mark skinął głową, zastanawiając się czy Synek rozpoznał to jako gest potwierdzenia. – Jak wielkie taczki.

Jedna rzecz jednak mocno Synka zaintrygowała. Kółka do taczek, były małe –– pokazał ich rozmiar rękoma –– i każda miała tylko jedno. Te były duże i podwójne.

– Chodź, pokażę ci to, Synku.

Przykucnął, wyjął z kieszeni notatnik i ołówek, a potem narysował dwie pary kół, na których umieścił wóz. Następnie dorysował zaprzężonego do nieco czworonoga, i idącego obok Światowianina z kijem. Synek popatrzył na rysunek –– Światowianie mieli zmysł obrazkowy, dzięki Bogu, na szczęście! –– a potem złapał Mamuśkę za rękaw i pokazał go jej. Mamuśka nie zrozumiała o co chodzi. Synek wziął ołówek i narysował drugie zwierzę, z tyczkami travois. Wykonał kilka gestów. Travois się przeciąga, to idzie wolno. Wóz ma koła, które się obracają, to odbywa się dużo szybciej.

A więc Lillian i Anna myślały, że on jest wioskowym półgłówkiem. Raczej chyba wioskowym geniuszem. Inni chłopi nie rozumieli go i czuli do niego niechęć z powodu jego wyższości. Podeszli bliżej, żeby dokładniej obejrzeć sobie koła i potoczyć je. Synek nieomal wychodził z siebie. Mamuśka była zaintrygowana, ale jej wydawało się, że to jest niemalże cud.

Potem podeszli do nazrzędzi kowalskich. Obcęgi. Synek nigdy czegoś takiego nie widział. Howell zastanawiał się, czego Światowianie używali do przytrzymywania obrabianego na gorąco metalu. Prawdopodobnie wielkich szczypców ze związanych razem dwóch zielonych, mokrych patyków. Jest taka arabska legenda, że pierwsze obcęgi zrobił Allach, dając je pierwszemu kowalowi, ponieważ nikt inny nie byłby w stanie sam zrobić obcęgów, nie mając wcześniej jakiejś pary na wzór.

Synek nie mógł zrozumieć zasady działania miecha, dopóki był rozebrany na części. Wtedy dokonał wielkiego odkrycia. Koła, miech na korbę, obcęgi na obrotowym trzpieniu, wszystkie te rzeczy działały na tej samej zasadzie, której jego rodacy ewidentnie jeszcze nie odkryli. Wydawało się, że otworzył się przed nim cały nowy świat. Od tej chwili, nieustannie znajdował nowe rzeczy, które zostały przebite przy pomocy osi lub trzpieni, i na nich się obracały.

W międzyczasie, Mamuśkę ponownie zaczęły swędzić ręce. Powinna przecież coś robić, tak żeby jakoś uzasadnić swoją obecność w obozowisku. Zastanawiał się właśnie jakiego rodzaju pracę mógłby dla niej wynaleźć, kiedy z drzwi baraku kwatery głównej zawołał go Karl Dorver.

– Mark, czy mógłbyś na chwilę podarować nam Mamuśkę? – spytał go. – Chcemy żeby trochę pooglądała obrazki i powiedziała nam, które ze zwierząt pełnią funkcję bydła rzeźnego, czy też które z roślin uprawnych są już dojrzałe.

– Myślisz, że uda ci się z niej coś wydobyć?

– Tak, przy pomocy gestykulacji. Być może też, złapiemy od niej parę jakichś słów.

Początkowo Mamuśka nie chciała zostawić Synka. W końcu jednak zdecydowała, że będzie to bezpieczne, pobiegła do Dorvera i weszła z nim do baraku.

Ekipa konstrukcyjna Dave'a Questella natychmiast zaczęła pracę nad zbiornikiem wody, używając do wykopania fundamentów potężnej koparki. Do mieszania betonu musieli dowozić wodę ze znajdującej się o ćwierć mili dalej rzeki. Synek przyglądał się temu z zainteresowaniem. Podobnie jak i wielu wieśniaków, którzy zebrali się w bezpiecznej odległości, przekraczającej zasięg strzału z łuku. Zauważyli między Terranami Synka, i wskazywali go sobie palcami. Synek również to dostrzegł. Mimochodem podniósł siekierę o dwustronnym ostrzu i trzymał ją w ręce.

On i Mamuśka zjedli obiad razem z zespołem kontaktowym. Ponieważ nie okazywali żadnych objawów chorobowych po śniadaniu, Fayon zdecydował, że można bezpiecznie im pozwolić, by jedli i pili to samo co Terranie. Lubili wino. Oczywiście wiedzieli co to jest, ale to akurat, zdawało się mieć rozkosznie odmienny smak. Każde z nich spróbowało papierosów, ale rozkaszleli się już po kilku pierwszych pociągnięciach, i zdecydowali że nie lubią palenia.

– Mamuśka przekazała nam wiele informacji, tyle tylko ile mogła, o roślinach uprawnych i zwierzętach. Te wielkie stworzenia, o rozmiarach nosorożca, są zwierzętami pociągowymi i służą tylko do tego. Nie zjada się ich – opowiadał Dorver. – Nie wiem, czy dlatego, że ich mięso jest niedobre, czy też to jest jakieś tabu, albo może są zbyt cenne aby je zjeść. Natomiast jedzą mięso wszystkich pozostałych trzech gatunków zwierząt hodowlanych i piją mleko dwóch z nich. Wydaje mi się też, że w miarę potrzeb, mielą zbierane ziarno w wielkich kamiennych moździerzach.

To była prawda. Mark również widział coś takiego.

– Willi, kiedy będziesz gdzieś ponad górami, rozejrzałbyś się czy nie uda ci się znaleźć czegoś, z czego moglibyśmy zrobić kamienie młyńskie. Możemy poprzycinać je piłami sonicznymi. Kiedy już podchwycą ten pomysł, będą mogli robić je samemu, ręcznie. Któreś z tych wielkich zwierząt może zostać użyte do obracania młyna. Czy udało wam się wydobyć od niej jakieś słowa?

Paul Meillard ponuro pokręcił głową.

– Nic, czego moglibyśmy być pewni. Wyglądało to bardzo podobnie, jak wczoraj we wiosce. Próbowała coś powiedzieć, ja próbowałem to powtórzyć, a ona mówiła że źle, i powtarzała jeszcze raz dokładnie to samo. Lillian zrobiła nagrania. Otrzymała te same wyniki, co poprzedniej nocy. Zapytaj ją o to, później.

– Czy efekty w przypadku Mamuśki były takie same, jak w przypadku innych?

– Tak. Mamuśka była bardzo uprzejma i próbowała tego nie okazywać, ale…

Po lunchu Lillian wzięła go na bok, tak by nie słyszeli ich oboje ze Światowian. Była niemal załamana.

– Mark, ja już nie wiem, co mam robić. Z nią jest tak samo, jak z innymi. Za każdym razem, kiedy tylko otworzę przy niej usta, jest po prostu przerażona. Tak jakby mój głos oznaczał dla niej coś wstrętnego. I to właśnie ja mam nauczyć się z nimi rozmawiać.

– No cóż, ci którzy mogą coś robić, robią to, a ci którzy nie mogą, uczą tego – pocieszył ją. – Możesz badać nagrania i mówić nam jak wyglądają poszczególne słowa, oraz uczyć nas jak je rozpoznawać i wymawiać. Jesteś jedynym lingwistą, jakiego mamy.

Wydawało się, że trochę ją to podniosło na duchu. Miał nadzieję, że to zadziała. Gdyby mogli porozumieć się z tymi ludźmi, i zostawić tutaj zespół, który przygotuje pierwszą kolonię, on również by tu został, aby uczyć tubylców terrańskiej technologii, i badać ich życie. Spodziewał się, że Lillian także zostanie. Była przecież lingwistką, musiała więc zostać. Teraz jednak, gdyby okazało się, że ona nie będzie dla nich żadną pomocą, tylko obciążeniem, będzie musiała wrócić do domu na *Hubercie Penrosie*. Paul nie mógłby zatrzymać językoznawcy, który obraża wszystkie uczucia tubylców, każdym słowem jakie do nich wypowiada. Nie chciał, żeby to się przydarzyło. Lillian i on, zaczęli trochę za dużo znaczyć dla siebie nawzajem, aby teraz dać się rozdzielić.

Tego popołudnia, Paul Meillard i Karl Dorver, mieli poważne trudności z Mamuśką. Chcieli, żeby poleciała z nimi i pomogła im w zakupie bydła. Mamuśka nie chciała lecieć, bardzo się bała. Zanim załapała o co chodzi, musieli odstawić całą skomplikowaną pantomimę, włączając w to kilku marines, udających jej straż osobistą, broniącą ją z nałożonymi bagnetami, przed paroma ludźmi wybranymi z ekipy marynarzy-budowlańców Dave Questella, którzy założyli sobie na głowę czerwone chusty, imitujące grzebienie tubylców. Potem bała się wsiąść do podstawionej ciężarówki kontragrawitacyjnej, przewożącej oprócz nich, motyki i koła do wozów. Kiedy Synkowi udało się ją uspokoić, to zaczęła się upierać, by jechał razem z nimi, a on z kolei nalegał na zabranie ze sobą swojej siekiery. Oznaczało to konieczność podwojenia liczby strażników, aby upewnić się, że Synek nie straci kontroli nad sobą, kiedy zobaczy swoich byłych prześladowców, w zasięgu siekiery.

Dalej wszystko poszło już znacznie lepiej, niż spodziewali się zarówno Paul Meillard jak i Luis Gofredo. Kiedy minął pierwszy szok tego, że znajduje się w powietrzu, Mamuśka odkryła, że lubi kontragrawitacyjne przejażdżki. Synek był szaleńczo zachwycony, już od samego startu. Tubylcy nie okazywali w stosunku do tej pary, nawet śladu wrogości. Lawendowy płaszcz kąpielowy Mamuśki, zielony kombinezon Synka oraz jego wielka siekiera, zdawały się być symbolami ich nowego i podwyższonego statusu. Nawet Pan Burmistrz był dla nich ekstremalnie uprzejmy.

Pan Burmistrz i kilku innych, także załapali się na swoją przejażdżkę kontragrawitacyjną. Polecieli na łąki, żeby wybrać bydło. Kilkanaście zwierząt, włączając w to również parę dwutonowych zwierząt pociągowych, zostało przewiezionych do obozu Terran. Przetransportowano do niego również parę ładunków ciężarówek, wybranych roślin. Wszyscy wydawali się bardzo zadowoleni z umowy, a już specjalnie Bennet Fayon. Natychmiast chciał zaszlachtować jedno ze zwierząt o rozmiarach owcy, hodowane na mięso i mleko, i zabrać się do roboty nad badaniem jego ciała. Gofredo poradził mu jednak, żeby odłożył to do następnego ranka. Chciał aby towarzyszyła temu duża widownia tubylców, którzy zobaczą jak zwierzę zostanie zastrzelone z karabinu.

Wieża ciśnieniowa została ukończona, a na jej wierzchołku umieszczono wielki sferyczny zbiornik na wodę, który mocno przymocowano. Szybko zainstalowano systemy pomp i filtrów. Tego wieczora jednak nie było jeszcze wody, by wziąć gorący prysznic. Trzeba było poprowadzić rurociąg do rzeki, a to wymagało wykopania rowu, przecinającego kilka pól uprawnych, co z kolei wywołałoby awanturę. Paul Meillard nie chciał, żeby stało się to przed zakończeniem handlu bydłem.

Charley Loughran i Willi Schallenmacher, polecieli jednym z lądowników na górę, na statek. Towarzyszyli grupie naziemnej, która miała wylądować w górach. Po południu innym lądownikiem przyleciała Ayesha Keithley, z pięcioma czy sześcioma tonami przyrządów, sprzętu i części, oraz z pomocnikiem, chorążym Marynarki.

Obie panie rozejrzały się po laboratorium, z którego korzystała Lillian, w końcu baraku kwatery głównej.

– To nie wystarczy – stwierdziła oficer Marynarki. – Tutaj nie udałoby się nam rozstawić nawet jednej czwartej aparatury, jaka będzie nam potrzebna. Będziemy musieli coś zbudować.

Do dyskusji wciągnięty został Dave Questell. Tak, mógłby postawić coś dostatecznie dużego, żeby można było w tym zainstalować wszystko, czego dziewczyny potrzebowały, i w dodatku dźwiękochłonnego. Z betonu, zdecydował. Jednak będą musiały poczekać, dopóki nie zostanie położony rurociąg doprowadzający wodę, i nie uruchomi pomp.

Następnego ranka, na polu ponownie zebrał się tłum tubylców, gapiących się na obóz Terran, i Gofredo podjął decyzję o zabiciu zwierzęcia –– dopóki nie poznają jego rodzimej nazwy, będą je nazywać Udomowionym Typu C. Zostało zapędzone w miejsce, gdzie wszyscy mogli je dobrze widzieć, a jeden z marines zrobił krok do przodu, załadował karabin, przyklęknął i wycelował w nie. Znajdowało się w odległości stu

pięćdziesięciu jardów od niego. Nawet Mamuśka wyszła na dwór, żeby zobaczyć co się dzieje. Synek i Howell, który objaśniał mu przy pomocy gestów konstrukcję wozu, stali tuż obok siebie. Marine nacisnął spust. Karabin huknął, a Udomowione-C wyskoczyło w powietrze, upadło na ziemię, kopnęło parę razy nogami i leżało nieruchomo. Tubylcy, jednak, przegapili tę część widowiska. Wszyscy żałośnie wyli i rozcierali sobie głowy. Wszyscy, poza Synkiem. On był jedynie lekko zaskoczony, tym co się stało Udomowionym-C.

Synek, jak się wydawało, był głuchy jak pień.

Tak jak się spodziewano, następnego dnia, późnym rankiem, kiedy maszyna kopiąca rów ruszyła przez łąkę na północ, podniósł się hałas. Widząc jej nieustępliwe posuwanie się w stronę pola czegoś podobnego do rzepy, przed jej czołem zebrał się tłum Światowian ćwierkając i wywijając narzędziami rolniczymi, z których wiele zrobionych było przez Terran.

Paul Meillard był na to przygotowany. Natychmiast wyruszyły w to miejsce dwie ciężarówki. Jedna z nich wyładowana była marines, którzy wyskoczyli z pojazdu z bronią gotową do strzału. Do tego czasu Światowianie wiedzieli już co potrafią zrobić karabiny, oprócz hałasu. Z drugiej ciężarówki wysiedli Gofredo, wraz z paroma ludźmi, i wyładowali prezenty. Cała gadanina spadła na Gofredo. Światowianie co prawda go nie rozumieli, ale przynajmniej to lubili. Lubili także prezenty, które obejmowały kilkanaście pustych półgalonowych gąsiorów po rumie, kawałki brezentu i całe mnóstwo wybranych bibelotów i ozdóbek. Rurociąg ruszył dalej.

On i Synek, ustawili kuźnię. Nie mieli do niej paliwa. Grupa marines wyruszyła więc z obozowiska do lasów na wschodzie, aby narąbać drewna. Potem wypalili nieco węgla drzewnego, w wykopanym koło obozu dole. W tym samym czasie, on i Synek, rysowali plany drewnianego koła, z metalową obręczą. Od strony baraku kwatery głównej podeszła do nich Lillian, niosąc pod pachą podręczny notatnik. Skinęła na niego ręką.

– Możesz mówić – uspokoił ją. – Przy Synku możemy swobodnie rozmawiać. On i tak nic nie słyszy.

– Nie słyszy? – powtórzyła jak echo. – Czy to znaczy…

– Zgadza się. Synek jest głuchy jak pień. Nie usłyszał nawet wystrzału z karabinu. Jedyny z całej tej bandy, który ma na tyle dużo oleju w głowie, by wiedzieć, że gdy się chce wysypać piasek z buta, to trzeba go odwrócić podeszwą do góry, i akurat on jest kompletnie bezużyteczny pod względem językowym.

– Czyli, pomimo wszystko, on nie jest półgłówkiem.

– Jego IQ jest raczej bliskie poziomu geniusza. Popatrz tylko na to. Do wczoraj nigdy jeszcze nie widział koła, a teraz właśnie je projektuje.

Oczy Lillian rozszerzyły się ze zdziwienia.

– A więc to dlatego Mamuśka jest taka dobra w mowie gestów. Robiła to przez całe jego życie. – Potem przypomniała sobie, po co przyszła się z nim zobaczyć i wyciągnęła w jego stronę notatnik. – Wiesz jak działa ten

mój analizator? A teraz, Ayesha ma zamiar zrobić z nim, to. Po rozbiciu dźwięku na pasma częstotliwościowe, zamiast je filmować i wyświetlać, aparat przekaże każde pasmo do odrębnego analizatora, i zostanie ono wyemitowane na odrębny ekran. Będzie ich w sumie czterdzieści, dla każdego pasma o szerokości stu cykli, od zera do czterech tysięcy. Taki zdaje się być zakres częstotliwości głosów Światowian.

W porze koktajlu, przed kolacją, diagram Lillian przechodził z rąk do rąk. Bennet Fayon pracował przez cały dzień nad sekcją zwierzęcia, które wszyscy nazywali *głowaczem*, określenie które pewnie by się przyjęło, nawet gdyby znali jego oryginalną rodzimą nazwę. Popatrzył obojętnie na rysunek, a potem jeszcze raz, już dokładniej. Następnie odstawił trzymanego w ręku drinka, i zaczął studiować go bardzo uważnie.

– Wiesz co tutaj masz? – spytał ją w końcu. – To bardzo zbliżona analogia do organów słuchowych tego zwierzęcia, nad którym pracowałem. Grzebień, tak jak zakładaliśmy, to organ zewnętrzny. Cały usiany jest małymi klapkami i szczelinami. Z tyłu każdej ze szczelin, znajduje się długa, wąska membrana. Szczeliny rozmieszczone są w parach, po każdej stronie grzebienia, jedna. Wychodzące z nich nerwy, prowadzą do skupisk małych, okrągłych membran. Kolejne włókna nerwowe prowadzą od nich dalej, do skomplikowanego splotu nerwowego, na spodzie grzebienia, i później do wnętrza mózgu, u podstawy czaszki. Nie mogłem zrozumieć jak ten system funkcjonuje, ale teraz już to widzę. Każda z dużych membran na zewnątrz, odpowiada za jedno pasmo częstotliwości dźwięku, a te mniejsze w środku rozbijają pasma dalej, na indywidualne częstotliwości.

– Ile jest tych małych? – spytała go Ayesha.

– Całe tysiące. Wnętrze grzebienia jest nimi po prostu wypełnione. Poczekajcie, pokażę wam.

Wstał i wyszedł z pomieszczenia, wracając po chwili z plikiem powiększonych zdjęć i zestawem bloków lucytu, w którym osadzone były próbki. Wszyscy przyjrzeli się im dokładnie. Anna de Jong, jako praktykujący psycholog, miała również dyplom lekarski, i aby go zdobyć, musiała poznać odrobinę anatomii. Była mocno zaintrygowana.

– Nie mogę zrozumieć, jak oni tym czymś słyszą. Zgadzam się, że membrany reagują na dźwięk, ale nie rozumiem w jaki sposób, jest on transmitowany dalej.

– A jednak jakoś słyszą – stwierdził Meillard. – Świadczą o tym ich instrumenty muzyczne, reakcje na nasze głosy, sposób w jaki oddziałują na nich różne dźwięki, na przykład odgłosy strzałów karabinowych…

– Tak, oni słyszą, ale nie w taki sam sposób jak to jest w naszym przypadku – odparł Fayon. – Jeżeli pozostałe argumenty was nie przekonały, spójrzcie tylko na te zdjęcia i porównajcie je ze strukturą ludzkiego ucha, albo ucha jakiejkolwiek innej rasy rozumnej, z jaką kontaktowaliśmy się w przeszłości. To właśnie to, o czym mówiłem wam od samego początku.

– Potrafią odbierać dźwięk do takiego stopnia precyzji, że nasz poziom wygląda niemal jak głuchota – przyznała Ayesha Keithley. – Chciałabym

umieć zbudować detektor dźwięku, choćby w jednej dziesiątej tak dobry, jak musi być ten.

Tak. Sposób w jaki wypowiedział *fwoonk* Pan Burmistrz i sposób w jaki wypowiedział to słowo Paul Meillard, brzmiał dla tubylców zupełnie inaczej. Oczywiście, *fwoonk*, *pwink*, *tweelt* i *kroosh*, dla nich z kolei brzmiały zupełnie podobnie, ale nie czepiajmy się specjalnie jakichś drobiazgów.

Tego wieczora nadal nie było gorącej kąpieli. Gang Dave'a Questella miał problemy z pompą i potrzebował dorobienia kilku części na pokładzie statku. Następnego ranka ciągle jeszcze nad tym pracowali. Miał zamiar zacząć uczyć Synka kowalstwa, ale poprzedniego wieczora Lillian i Anna postanowiły że spróbują nauczyć Mamuśkę niefonetycznego alfabetu ideograficznego, i rano dokooptowały do pomocy Synka. Pozbawiony swojego ucznia, snuł się z kąta w kąt, przyglądając się pracy nad pompą. Z okolicznych pól zeszło się również około dwudziestu Światowian, którzy obserwowali całe widowisko, z łąki koło obozu.

Po jakimś czasie, robota została zakończona. Młodszy oficer, kierujący pracami, wcisnął przełącznik i pompa ruszyła, zasysając powietrze z ostrym hałasem. Tubylcy zaćwierkali z zaskoczeniem. Potem popłynęła woda, i pompa przeszła do stałego *thugg-thugg*, *thugg-thugg*.

Światowianie chyba polubili ten nowy dźwięk. Ich twarze rozciągnęły się w grymasie przyjemności, i przysunęli się bliżej. Po podejściu na jakieś czterdzieści czy też pięćdziesiąt stóp, wszyscy usadowili się na ziemi i siedzieli jak oczarowani. Z pól zaczęli napływać kolejni, przyciągnięci przez odgłos pracy pomp. Oni również podchodzili bliżej i siadali, aż w końcu utworzyło się zwarte półkole widzów. Napełnianie zbiornika zabrało sporo czasu, i dopóki się nie zakończyło, wszyscy siedzieli nie ruszając się, zafascynowani. Nawet kiedy pompa stanęła, wielu z nich pozostało na miejscu, mając nadzieję, że ponownie podejmie pracę. Paul Meillard zaczął zastanawiać się, lekko zaniepokojony, czy będzie to się powtarzać, przy każdym jej uruchomieniu.

– Słuchając tych dźwięków, doznają jakiejś niesamowitej przyjemności. Działają one na nich w taki sam sposób, jak głos Luisa.

– Czy to ma znaczyć, że mój głos brzmi jak pompa? – dopytywał się Gofredo.

– No cóż, tego właśnie mam zamiar się dowiedzieć – odparła mu Ayesha Keithley. – Następnym razem, kiedy pompa się uruchomi, zrobię nagranie i porównam je z zapisem twojego głosu. Stawiam pięć do jednego, że będzie wyraźne podobieństwo.

Questell wykopał fundamenty pod laboratorium soniczne i zaczął zalewać je betonem. Wymagało to dużych ilości wody, tak więc tego popołudnia, pompa pracowała nieustannie. Nazajutrz mieszanie betonu pochłonęło jeszcze więcej wody i do południa przy budynku przepompowni zebrała się masowo cała ludność wioski, do najmniejszego dziecka, kompletnie oczarowana. Mamuśka została usidlona przez ten dźwięk, tak samo jak i reszta, tylko Synek pozostawał obojętny. Lillian i Ayesha

porównały zagrania głosów członków zespołu z odgłosem pracy pompy. U Gofredo, stwierdziły identyczny wzorzec częstotliwości.

– Będziemy potrzebować nowej aparatury, żeby się co do tego upewnić, ale coś w tym jest, tak – stwierdziła Ayesha. – To właśnie dlatego głos Luisa tak im się podoba.

– Przypną mi łatkę Gęba Jak Pompa – przeraził się Gofredo. – Jak to się rozejdzie po całym Korpusie, to wszyscy będą mnie tak nazywać, nawet kiedy zostanę czterogwiazdkowym generałem, oczywiście jeżeli tego dożyję.

Meillard teraz zaczął się naprawdę martwić. Tak samo Bennet Fayon. Powiedział im to tego popołudnia, po zakończeniu pracy.

– To ich uzależnia – oznajmił. – Kiedy słyszą ten odgłos, nie mają na tyle silnej woli, aby się mu oprzeć. Po prostu siadają i słuchają. Nie mam pojęcia, jakie mogą być dla nich skutki, ale boję się tego.

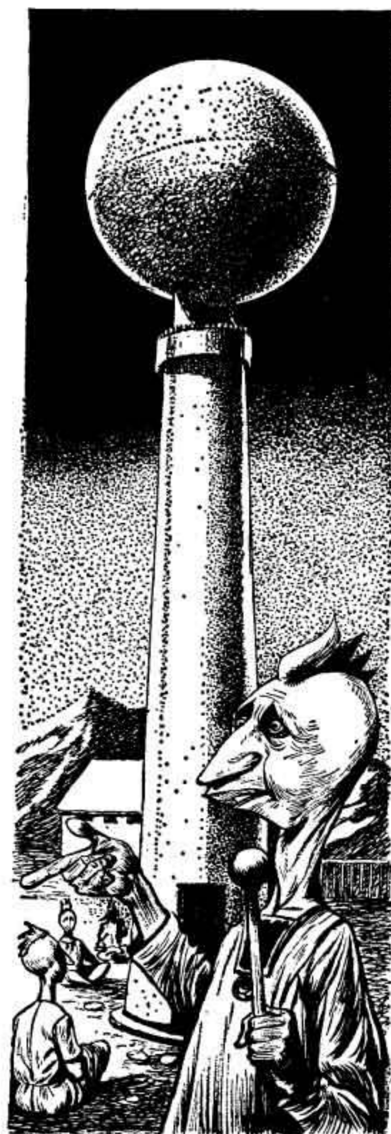
– Wiemy już o jednym skutku, który możemy bez trudu zaobserwować – powiedział Meillard. – To ich odciąga od pracy w polu. Z tego co wiemy, może to spowodować utratę zbiorów, które są im tak bardzo potrzebne do przetrwania.

Tubylec, którego zwykli nazywać Panem Burmistrzem, najwyraźniej również tak myślał. Następnego dnia rano, był koło obozu razem z innymi, siedząc ze swoją laską położoną na udach, tak samo oszołomiony jak wszyscy pozostali. Ale kiedy pompa się zatrzymała, wstał i podszedł do grupy Terran, zarzucając ich potokiem słów, który mógł stanowić tylko pełną pasji tyradę. Wskazywał swoją laską na budynek przepompowni oraz na półkole nadal siedzących nieruchomo wieśniaków. Potem pokazał nią na pola, ponownie na ludzi i jeszcze raz na przepompownię, gwałtownie gestykulując drugą ręką.

To wy tak hałasujecie. Moi ludzie nie mogą pracować, kiedy słyszą ten odgłos. Pola zaczynają leżeć odłogiem. Przestańcie hałasować i pozwólcie moim ludziom spokojnie pracować.

Nie mógłby wyrazić tego w bardziej oczywisty sposób.

Wtedy pompa ponownie ruszyła. Ręce Pana Burmistrza zacisnęły się na lasce. Zmagał się ze sobą w męczarniach, ale na próżno. Jego twarz odprężyła się i pojawił się na niej łamiący serce wyraz radości. Odwrócił się i odszedł powłócząc nogami, by opaść na



siedzenie razem z innymi.

– Zatrzymaj tę pompę, Dave – zawołał Meillard. – Wyłączcie zasilanie.

Miarowe *thugg-thugg* ucichło. Pan Burmistrz podniósł się, wykonał dziwnie salaamowaty ukłon w kierunku Terran, a następnie odwrócił się do swoich ludzi, krzycząc na nich i poganiając ich trzymaną w ręku laską. Kilku innych zerwało się na nogi, i zaczęło mu pomagać, pokrzykując, popychając, pociągając. Przyłączyli się do nich kolejni. Po kilku chwilach, wszyscy już wstali, i zaczęli rozchodzić się do pracy w polu.

Dave Questell próbował dowiedzieć się o co chodzi. Meillard wyjaśnił mu wszystko.

– Co więc robimy w sprawie wody? – spytał się inżynier.

– Wycisz budynek przepompowni. Chyba możesz to zrobić, co?

– Pewnie. Przykryjemy ją kopcem z ziemi. Będzie gotowe za kilka godzin.

Wszystko to zaniepokoiło Gofredo.

– Takie rzeczy pojawiają się zawsze, kiedy kolonizujemy zamieszkałą planetę. Dajemy tubylcom coś nowego. Potem stwierdzamy, że to nie jest dla nich dobre i próbujemy odebrać im to z powrotem. A wtedy noże wysuwają się z pochew i zaczyna się strzelanina.

Luis Gofredo był również niezłym specjalistą, zwłaszcza kiedy mówił o sprawach ze swojej dziedziny.

Kiedy jedli lunch, z drugiego obozu połączył się Charley Loughran, który chciał rozmawiać z Bennetem Fayonem.

– Zabawna rzecz, Bennet. Strzeliłem do ptaka… nie, latającego ssaka… i strąciłem go. Kiedy uderzył w ziemię, był już martwy, ale na jego ciele nie ma nawet śladu postrzału. Chciałbym, żebyś wykonał autopsję i dowiedział się, jak mogłem zabić to stworzenie, pomimo że chybiłem.

– Z jakiej odległości strzelałeś?

– Powiedzmy czterdzieści stóp, nie więcej.

– Czego używałeś, Charley? – od stołu zawołała Ayesha Keithley.

– Ośmio- i pół milimetrowego pistoletu Mars Consolidated – odparł Loughran. – Odłożyłem broń na ziemię i podszedłem do niego…

– Tysiąc dwieście stóp na sekundę – powiedziała Ayesha. – Fala uderzeniowa pocisku oraz wybuch w lufie.

– Myślisz, że spowodował to hałas wystrzału? – spytał ją Fayon.

– Chcesz się założyć, że to coś innego? – odparowała.

Nikt nie zaryzykował.

Mamuśka dąsała się. Nie podobało jej się to, co ludzie Dave’a Questella zrobili z miejscem-miłego-hałasu. Ayesha i Lillian pocieszały ją, zabierając Światowiankę do wyciszonego pomieszczenia i odtwarzając jej nagrania odgłosu pracy pomp. Synka, tak czy inaczej, chyba nic nie mogłoby mniej obchodzić, a więc spędził popołudnie ucząc się od Marka Howella, co oznaczają znaczki na papierze. Wymagało to mnóstwa gestów

i pantomimy. Nauczył się około trzydziestu ideografów. Składając je razem i uzupełniając narysowanymi małymi obrazkami, mógł wyrazić wiele prostych idei. Istniał, oczywiście, pewien limit, dotyczący liczby tego typu symboli, jakich człowiek jest w stanie nauczyć się i zapamiętać –– wystarczy tylko popatrzeć, jak wiele czasu, na dawnej Terrze, zajmowała nauka chińskiemu skrybie, tak by mógł wykonywać swój zawód –– ale był to pomimo wszystko początek jakiejś metody porozumiewania się.

Questell przykrył budynek przepompowni kopcem ziemi. Kiedy pompy rozpoczęły prace, Ayesha wyszła na dwór i włączyła miernik natężenia hałasu. Podobnie zrobiła Mamuśka. Żaden nie zareagował.

Pracy przyglądała się spora liczba Światowian. Zaczęli okazywać gniew. Kilku próbowało przeszkadzać i zostali powaleni kolbami karabinów.

Pan Burmistrz i jego Rada Miejska nadeszli z wielkim rogiem, wygłosili do niech długie przemówienie, i w końcu zabrali ich z powrotem na pola. Na tyle, na ile można było powiedzieć, byli przyjaźnie nastawieni i chętni do współpracy z Terranami. Podsłuchiwacz nad wioską, donosił jednak o podekscytowaniu na placu.

Natychmiast po lunchu, Bennet Fayon wziął airjeepa i poleciał do drugiego obozu. Wrócił o 15.00 w towarzystwie Loughrana. Przywieźli ze sobą owinięty w szmaty pakunek i zabrali go do pomieszczenia w którym Fayon przeprowadzał sekcje. W porze koktajlu, Paul Meillard musiał pójść i wyciągnąć ich stamtąd.

– Przepraszam – usprawiedliwił się Fayon, przyłączając się do reszty grupy. – Nie zauważyliśmy, jak późno się już zrobiło. Ciągle badamy jeszcze tego światowiańskiego nietoperza, jak go nazwał Charley, zanim nie poznamy jego rodzimej nazwy.

– Bezpośrednią przyczyną śmierci był spazmatyczny skurcz wszystkich mięśni w ciele stworzenia. Niektóre z nich, zanim mogliśmy się zabrać do pracy nad nim, częściowo się już rozluźniły, ale nie do końca. Każda kość, która nie została złamana, jest przemieszczona. W wielu przypadkach obie rzeczy jednocześnie. Nie ma najlżejszego śladu jakiejkolwiek zewnętrznej rany. Wszystko to spowodowały jego własne mięśnie. – Popatrzył dookoła. – Mam nadzieję, że po moim odjeździe nikt nie przyjął zakładu Ayeshy. Jeżeli tak, to ona wygrywa. Duże, zewnętrzne membrany w grzebieniu, wydają się być nienaruszone, ale widoczne jest wyraźne zgniecenie tych małych, w środku, dokładnie w jednym obszarze, i bardziej na prawym boku, niż na lewym. Charley mówi, że przelatywał przed nim, od lewej strony do prawej.

– Obszar receptorów, odpowiadających za częstotliwości odgłosu wybuchu – stwierdziła Ayesha.

Anna de Jong wykonała gest odprawiający Fayona.

– To twoja działka, Bennet – przyznała. – Ta sprawa nie ma podłoża psychologicznego. Nie mogłabym przyjąć do wiadomości przypadku złożonego złamania o charakterze psychosomatycznym.

– Nie bądź tego taka pewna, Anno. Ja sądzę, że mamy tutaj do czynienia, mniej więcej właśnie z czymś takim.

Wszyscy obejrzeli się na Marka, z zaskoczeniem. Obszarem którym się zajmował, była technologia porównawcza. Nauki biologiczne i psychologiczne leżały całkowicie poza jego specjalnością.

– Przez cały czas, od nawiązania pierwszego kontaktu, nurtuje mnie szereg kwestii. Obecnie, myślę, że zaczynam się zbliżać do granicy ich zrozumienia. Bennet, tutejsze wyższe formy życia –– istoty rozumne, ten głowacz i światowiański nietoperz Charleya –– są strukturalnie identyczne z nami. Nie mam tutaj na myśli budowy rozumianej powierzchownie, jak uszy i grzebienie. Chodziło mi o strukturę molekularną, komórkową i tkankową. Czy to prawda?

Fayon skinął głową.

– Biologia na tej planecie należy dokładnie do typu terrańskiego. Tak. Przy odpowiednich środkach zabezpieczających, powiedziałbym nawet, że możliwe jest wykonanie Terraninowi przeszczepu żywej tkanki od Światowianina, i vice versa.

– Ayesha, czy w przypadku tkanek podobnych do naszych, fala dźwiękowa tego wystrzału z pistoletu, mogłaby w jakiś możliwy do wyjaśnienia sposób, spowodować fizyczne skutki, o których rozmawiamy?

– Absolutnie, nie – odparła, a Luis Gofredo dodał jeszcze:

– Strzelano do mnie niecelnie z pistoletu, z mniejszej odległości, niż ta.

– Czyli zostało to spowodowane oddziaływaniem na system nerwowy zwierzęcia.

Anna wzruszyła ramionami.

– To nadal jest działka Benneta. Ja jestem psychologiem, a nie neurologiem.

– I to jest właśnie to, o czym mówię przez cały czas – powtórzył zadowolony z siebie Fayon. – Oni słyszą w inny sposób, niż my. I to właśnie tego dowodzi.

– To dowodzi, że oni w ogóle nie słyszą.

Oczekiwał wybuchu, i nie zawiódł się. Wszyscy zaczęli oponować przeciwko jego twierdzeniu, wielu z nich z szyderstwem. Odruchy warunkowe. Jedynie Paul Meillard wygłosił właściwą semantycznie odpowiedź.

– Co przez to rozumiesz, Mark?

– Oni nie *słyszą* dźwięków, oni je *czują*. Wszyscy wiedzieliście, co zawierają ich grzebienie. Te konstrukcje nie transmitują dźwięku, tak jak uszy każdej potrafiącej go odbierać formy życia, jakie do tej pory napotykaliśmy. One przekształcają fale dźwiękowe w namacalne odczucia.

Fayon zaklął, wolno i ciężko. Anna de Jong wpatrywała się w niego z rozszerzonymi oczyma. Dokończył swój koktajl, i nalał sobie następną szklaneczkę. Na ekranie podsłuchiwacza widać było coś w rodzaju pełnego oburzenia wiecu, na wioskowym placu, który powodował straszliwy zgiełk. Gofredo jeszcze bardziej przykręcił głośność.

– To by wyjaśniało wiele spraw – powoli stwierdził Meillard. – Jak ciężko było im nawet sobie wyobrazić, że my nie zrozumieliśmy, co oni do nas mówią. Walnięcie pięścią w nos, oznacza dla wszystkich to samo. Myśleli, że przekazują nam cielesne odczucia. Nie wiedzieli, że my ich nie odbieramy.

– Ale oni… oni mają swój język – zawahała się Lillian. – Oni mówią.

– Nie w sposób, w jaki my to rozumiemy. Jeżeli chcą powiedzieć „Ja", to jest to *dotknięcie-uszczypnięcie-potarcie*, nawet jeżeli dla nas brzmi to jak *fwoonk*, jeżeli czasami nie brzmi jak *pwink*, *tweelt* lob *kroosh*. Namacalne odczucia, odbierane przez Światowianina, nie różnią się między sobą bardziej niż komunikaty przesyłane przez cztery różne dłonie. Pewną analogią może być dla nas słowo wypowiadane przez cztery różne głosy. Oni posiadają odpowiednie kody dla wyrażania treści znaczeniowej komunikatu, przy pomocy namacalnych odczuć, dokładnie tak samo jak my mamy takie kody dla wyrażania znaczenia w wypowiadanych dźwiękach.

– Poza tym, kiedy Światowianin mówi innemu: „Jestem szczęśliwy", albo „Boli mnie brzuch", powoduje że tamten również tak się czuje – powiedziała Anna. – Taki sposób przekazu jest dużo bardziej przekonywujący. Nie wyobrażam sobie, aby przekazywanie między sobą informacji o symptomach, było popularne wśród Światowian. Karl! Pod tym względem, byłeś całkiem blisko prawdy. To nie jest telepatia, ale coś w dużej mierze do niej podobnego.

– I to jest szczera prawda – powiedział nieco weselszym tonem Dorver, któremu wcześniej żal było jego obalonej teorii telepatii. – I spójrzcie tylko, jak to ładnie wyjaśnia działanie ich społeczeństwa. Pokojowe, wszyscy bardzo szybko dochodzą do porozumienia… – Spojrzał na ekran i przełknął ślinę. Pan Burmistrz i jego grupa utworzyła jedno skupisko, a opozycja zgrupowała się po drugiej stronie placu. Wrzeszczeli na siebie nawzajem zgodnymi chórami. – Decyzje podejmowane są u nich dzięki wytrwałości. Grupa, która jest w stanie dłużej opierać się uczuciom innych, przekabaca swoich oponentów.

– Demokracja w najczystszej postaci – oznajmił Gofredo. – Rządy dzierży ta grupa, która potrafi zrobić najwięcej hałasu.

– Założyłabym się tez, że kiedy ktoś źle się czuje, chodzi dookoła i skanduje: „Czuję się dobrze! Czuję się po prostu wspaniale!" – dodała Anna. – Tutaj autosugestia naprawdę działa. Pomyślcie też o tych wszystkich sprzężeniach zwrotnych. Jeden ze Światowian coś czuje. Werbalizuje swoje uczucie i dźwięk jego głosu jeszcze je w nim wzmacnia. Indukuje je w swoich słuchaczach, a oni również je werbalizują, wzmacniając je w nich samych i także w nim. To może tak się powtarzać i powtarzać.

– Tak, to prawda. Spójrzcie tylko na ich technologię. – Mark teraz, kiedy znalazł się z powrotem na swoim poletku, od razu poczuł się dużo pewniej. – Jeden z moich przyjaciół, mówiąc o naszej wspólnej znajomej, powiedział swego czasu: „Kiedy instalowano jej komórki mózgowe, użyto takiej ilości komórek odpowiedzialnych za uczucia, że nie zostało już ani odrobiny miejsca na żadne komórki do myślenia". Wydaje mi się, że to doskonały opis tego, jak według mnie, wyglądać musi umysłowość Światowianina. Pomyślcie tylko o tych nożach z brązu i instrumentach muzycznych. Cudowne. Dzieło ludzi, próbujących wyrazić swoje uczucia w metalu i drewnie. Ale pojąć takie idee jak koło, czy nawet obcęgi? Ufff! Jak można wyrazić pierwsze prawo dynamiki, albo drugie prawo

termodynamiki w kategoriach dotknięć-uszczypnięć-potarć? Synek potrafi zrozumieć idee tego typu. Upośledzenie Synka, jeżeli tak by ktoś chciał to nazwać, odcina go od myślenia czuciowego. On potrafi myśleć logicznie, a nie zmysłowo.

Pociągnął łyk swojego koktajlu i mówił dalej:

– Potrafię także wyjaśnić, dlaczego wioska została wywindowana tak wysoko do góry. Wpadłem na to, kiedy przyglądałem się, jak ludzie Dave'a zakopują budynek przepompowni. Nurtowało mnie to, oraz brak jakichkolwiek spichlerzy na plony, które zbierają. Ponadto jeszcze kwestia tak małej liczby ludzi, niewielkich rozmiarów ich domów. Myślę, że wioska położona jest w większości pod ziemią, a domy, jakie widzimy, są po prostu wejściami. Prawdziwe domy są głębiej, izolowane od dźwięków, tak by chronić ich przed nieprzyjemnymi odgłosami naturalnymi –– na przykład grzmotami.

Z głośnika ekranu podglądacza zaryczał róg, a ktoś zaczął się głośno zastanawiać, co to może oznaczać. Gofredo roześmiał się.

– Początkowo myślałem, że to jest róg bitewny. Ale zdecydowanie nie. To róg pokoju – powiedział. – Publiczny środek uspokajający. Pierwszego dnia wyciągnęli go z wioski, i grali na nim, aby nas zmusić do pokojowego zachowania.

– Teraz już rozumiem, dlaczego Synek został odrzucony i był prześladowany – stwierdziła Anna. – Musi powodować całą gamę straszliwych odgłosów, których oni nie są w stanie słuchać… to niewłaściwe słowo, ale nie mamy tutaj odpowiedniego… i nikt, poza matką nie mógł wytrzymać blisko niego.

– Podobnie jak i blisko mojej osoby – zgodziła się Lillian. – Teraz już rozumiem. Pomyślcie tylko o jakiejś rzeczy, naprawdę budzącej wstręt, którą ktoś może wam zrobić, fizycznie. To właśnie robię im ja, kiedy do nich mówię. A ja zawsze myślałam, że mam miły głos – dodała, żałosnym tonem.

– I masz, dla Terran – powiedziała Ayesha. – Dla Światowian, będziesz musiała go po prostu zmienić.

– Ale, jak… ?

– Używaj analizatora, szkól głos. To właśnie przede wszystkim z tego powodu, zajęłam się badaniami dźwięku. Kiedyś miałam głos jak wrona z bólem gardła, ale dzięki ćwiczeniom z analizatorem, godzinę dziennie, w ciągu kilku miesięcy, wyszkoliłam sobie zupełnie inny głos. Po prostu spróbuj dodać do niego trochę z tych częstotliwości odgłosu pracy pomp, tak jak Luis.

– Ale po co? Nie ma tu ze mnie żadnego pożytku. Ja jestem lingwistką, a ci ludzie nie mają żadnego języka, którego mogłabym się nauczyć, a oni również nie będą mogli nauczyć się naszego. Nie będą w stanie pojąć kwestii emisji dźwięków, jako dźwięków.

– Robisz całkiem niezłą robotę z Mamuśką, przy pomocy tych ideografów – sprzeciwił się Meillard. – Kontynuuj te prace, dopóki nie nauczysz jej słownictwa Basica Lingua Terra, a przy jej pomocy będziemy mogli nauczyć go kilka kolejnych osób. Oni mogą potem zostać naszymi tłumaczami. To co mają mówić innym, my możemy im pisać. To będzie

trochę niewygodne, ale powinno działać, a jest to chyba jedyna rzecz, jaką potrafię w tej sytuacji wymyślić.

– A z czasem, zacznie to funkcjonować dużo lepiej – dodała Ayesha. – Potem może uda nam się zbudować vocodery i wizualizatory. Paul, masz wystarczająco duży zakres władzy, do pozyskiwania personelu spośród załogi statku. Zażądaj mojej osoby, zostanę tutaj i będę nad tym pracować.

Wrzawa na wioskowym placu, stawała się coraz większa. Pan Burmistrz i jego zwolennicy byli przekrzykiwani przez opozycję.

– Lepiej zrób coś z tym szybko, Paul, jeżeli nie chcesz mieć całej gromady wystrzelanych Światowian – stwierdził Gofredo. – Daj im jeszcze pół godziny, i będziemy mieli tutaj tłum gości z łukami i włóczniami.

– Ayesha, masz nagranie tej pompy – zaproponował Meillard. – Załaduj odtwarzacz na jeepa, poleć nad wioskę i odtwórz im je. Zrób to natychmiast. Anno, przyprowadź tutaj Mamuśkę. Chcemy, żeby przekazała tej żałosnej bandzie, że od dzisiaj, w południe i przez parę godzin po zachodzie słońca, po skończonej pracy, na wioskowym placu, odbywać się będą darmowe koncerty odgłosu pracy pomp.

Ayesha, pomagający jej chorąży i porucznik marines, szybko wyszli z baraku. Wszyscy pozostali stali przed ekranem i przyglądali się. W ciągu piętnastu minut, airjeep znalazł się już nad wioską. Zaczął krążyć nisko nad głowami, a z głośników wydobywał się miarowy odgłos *thugg-thugg*, *thugg-thugg*, pracujących pomp.

Wrzaski, świergotania i ryki rogu pokoju, urwały się niemal natychmiast. W miarę jak jeep krążył tuż ponad dachami, dwie grupy reprezentujące spierające się frakcje, stopniowo się rozpadały, a tubylcy wchodzący w ich skład przesuwali się na środek placu, siadali i gapili się w górę, pozwalając by pieściły ich cudowne fale dźwiękowe.

– Czy musimy dwa razy dziennie specjalnie wysyłać ludzi, żeby to robili? – spytał Gofredo. – Możemy trzymać nad wioską podsłuchiwacza, wyposażonego w głośnik i timer, Będzie emitował im to ich *thugg-thugg*, automatycznie, zgodnie z rozkładem.

– Możemy dać nagranie i odtwarzacz Panu Burmistrzowi, i niech on zdecyduje, kiedy ludzie powinni tego słuchać.

– Nie! – Mark przemówił tak gromko, że wszyscy aż podskoczyli. – Wiecie, co by się wtedy stało? Nikt nie byłby w stanie tego wyłączyć. Wszyscy przecież natychmiast by zostali zahipnotyzowani, znarkotyzowani, czy jak to nazwiemy. Siedzieliby tylko w kręgu wokół odtwarzacza, aż w końcu by pomarli z głodu A po wyczerpaniu się baterii urządzenia, wokół niego pozostałby tylko pierścień szkieletów. Po prostu musimy sami im to odtwarzać. To nasz obowiązek.

– To da nam nad nimi władzę – zauważył Gofredo. – Dodatkowe thugg-thugg, jeżeli będą bardzo grzeczni, wyłączenie muzyczki gdy będą się zachowywać brzydko. A kiedy odkryjemy, co takiego ma w swoim głosie Lillian, czego nie ma reszta z nas, i zrobimy dobre, głośne nagrania

tego dźwięku, to możemy wstawić je do arsenału, razem i inną amunicją do ciężkiej broni. Wiecie, nie powinniście w ogóle mieć żadnych problemów, kiedy ruszymy dalej, aby porozmawiać z królem, czy kimkolwiek innym. To jest dużo lepsze, niż woda ognista.

– Nie wolno nam nigdy i w żaden sposób, nadużywać naszej przewagi, Luis – poważnie oznajmił Meillard. – Wolno nam korzystać z tego wyłącznie dla ich dobra.

I naprawdę tak myślał. Tylko, że… Aby studiować historię techniki, trzeba trochę poznać historię ogólną, i Markowi wydawało się, że przypomina sobie podobne pobożne życzenia, wygłaszane już parokrotnie w przeszłości. Wielu ludzi, którzy tak twierdzili również w to wierzyło, ale na dłuższą metę, nie robiło to poważniejszej różnicy.

Fayon i Anna z entuzjazmem dyskutowali o czekającej ich pracy.

– Nie mam pojęcia, w którym punkcie kończy się twoja dziedzina i zaczyna moja – mówiła Anna. – Po prostu będziemy musieli przerzucać to pomiędzy nami. Jak określimy ten zmysł? Z pewnością nie możemy nazwać go słuchem.

– Jedyne, co przychodzi mi do głowy, to pozasłuchowy zmysł soniczny – odparł Fayon. – Ale to bardzo niezgrabne określenie.

– Mark, ty pierwszy to wszystko wymyśliłeś – zwróciła się do niego Anna. – Co o tym sądzisz?

– Pozasłuchowy zmysł soniczny. To nie jest jakoś specjalnie gorsze niż Udomowione Typu C, i tak samo jak tamto, trzeba będzie trochę skrócić. *Poson*.

KONIEC